SOBOTA
Nr 5 12.I.1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Tak się w owych czasach słuchało radia. Oto publiczny pokaz działania odbiornika radiowego w r. 1926 w Głuchowie koło Skierniewic. O obecnym stanie elektroniki polskiej czytaj na stronie 4–5

W RYPINIE RADIO GRA

Było to może w roku 1924, gdy Ameryka na swoich etykietach dawała obrazki, jak to w Ameryce nawet piesek miał na uszach słuchawki, każdy podróżny jadący pociągiem miał na uszach słuchawki, każda kucharka mieszająca w garnku miała na uszach słuchawki. Nas ogarnęła zazdrosna żałość. My w Polsce nawet nie wiemy, jak radio wygląda. Może tam, w stolicy, albo w dużym mieście ktoś jest takim szczęśliwcem, ale my na prowincji jakże bardzo byliśmy pokrzywdzeni. Naraz rozeszła się wieść, że za dwa dni w sali kina sekretarz Inspektoratu Szkolnego, pan Tadeusz Olszewski ma mieć wykład o radiu i będzie łapał fale; usłyszymy muzykę i inne „aktualności" za pomocą prawdziwego lampowego radia!

W oznaczonym dniu o oznaczonej godzinie cała elita Rypina przybrana odświętnie jak na premierę, zdążała do sali kina przybranej na tę uroczystość gałązkami jedliny i chorągiewkami. Sala była pełna. My z przyjaciółką zajęłyśmy już ostatnie miejsca, gdy dzwonek dał sygnał, aby zamknąć drzwi i słuchać muzyki w niezwykły sposób złapanej z powietrznych przestworzy. Nastrój był bardzo uroczysty. Obecni wstrzymywali oddech, aby nie uronić żadnego dźwięku. Pan Olszewski, ubrany wizytowo, wyszedł na scenę. Za nim woźny przytaszczył duże pudło i postawił na przygotowanym stoliku. Salę zaległa męcząca cisza. Pan Olszewski w kilku słowach wytłumaczył istotę radia, pokazał niektóre części aparatu, usiadł z wielkim namaszczeniem obok radia na krześle i powiedział: – „A teraz proszę państwa przekonamy się, jak za pomocą tych wszystkich przyrządów złapiemy melodie wygrywane w tej chwili w Paryżu, Londynie, a nawet w Nowym Jorku".

W sali stała się taka cisza, że niemal słychać było bicie serc radioamatorów. Wreszcie wśród tej martwej ciszy odezwało się: pak, pak, pak, fiuuuuu, trzask, trrrrr, tralatata, rrrrum. A potem głos woźnego: – „Lampy nawaliły". Pan Olszewski spąsowiał jak mak, ukłonił się pięknie publiczności i powiedział: – „Skończyło się, proszę państwa"...

List Stefanii Siatkowskiej, Stary Sącz, Królowej Jadwigi 4, który nadesłała do BSiOP w ramach akcji „Słuchacze piszą historię Radia".

Szansa dla każdego!

- BIEGI I SKOKI NARCIARSKIE
- SLALOM GIGANT
- ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

to konkurencje rozgrywanego w dniach 31.I.–1.II. br. w Zakopanem

V PUCHARU FERII ZIMOWYCH

Chcesz wziąć udział w zawodach, którym patronuje „Świat Młodych", a organizatorem jest zakopiańska Szkoła Mistrzostwa Sportowego – zgłoś się najpóźniej 28 stycznia br. w sekretariacie tej szkoły, mieszczącej się w Zakopanem, przy ul. Karłowicza 6.

Pod hasłem BANDERA

GDYNIA (HSI). W Komendzie Hufca im. Bohaterów Gdyni przygotowano program szeroko rozumianego wychowania morskiego. Ma on przybliżyć zuchom, harcerzom i kadrze instruktorskiej ZHP sprawy gospodarki morskiej, kultury oraz tradycji marynarskich i rybackich.

Kampania programowa pod hasłem „Bandera" trwać będzie do czerwca 1980 r. Jej zamierzenia realizowane będą w trzech etapach mających hasła wywoławcze: „Biało-czerwonej – praca", „Biało-czerwonej – pamięć", „Biało-czerwonej – pokój". Ponadto program przewiduje prowadzenie studium wiedzy o morzu i Gdyni, oraz zorganizowanie III Sejmiku Morskiego poświęconego m.in. sprawom pracy drużyn żeglarskich.

Program wciąż jest wzbogacany i rozwijany przez inicjatywy młodzieży. Takie propozycje zgłosiła np. komenda szczepu przy Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych. Młodzież harcerska tej szkoły zamierza wykonać dokumentację wszystkich polskich żaglowców. W podobny sposób mają być uwiecznione gdyńskie pomniki i miejsca pamięci. Rozpoczęto już prace nad scenariuszem filmu o Gdyni, który młodzi fotograficy chcieliby nakręcić.

W realizacji założeń kampanii „Bandera" mieć będą swój udział także studenci z kręgu instruktorskiego przy WSM w Gdyni. Studenci będą przeprowadzać na szkolnym basenie egzaminy na kartę pływacką oraz poprowadzą kursy żeglarskie na stopień żeglarza i sternika jachtowego. Uczestniczyć też będą w prowadzeniu „Studium wiedzy o morzu" oraz w organizowaniu „Olimpiady o morzu i Gdyni".

Niezależnie od zajęć programowych harcerze podejmować będą prace społeczne na rzecz miasta a także takie, które umożliwiają im zgromadzenie funduszów na nowy sztandar hufca. (aw)

MIASTO DWUDZIESTOLATKÓW

ZSRR (PAP). Na mapie ZSRR pojawiło się nowe miasto – Zarinsk. Jego mieszkańcami są budowniczowie ałtajskiego zakładu koksochemicznego. Pracują tutaj komsomolcy – przedstawiciele ponad 20 narodowości ZSRR. Średni wiek mieszkańców młodego miasta nie przekracza 20 lat.

Jednocześnie z obiektami fabrycznymi buduje się domy mieszkalne, sklepy, szkoły i przedszkola. Rośnie najmłodsze miasto Związku Radzieckiego. (ml)

PRZEPRASZAMY

W n-rze 153 „ŚM" z dnia 29.XII.79 na stronie 1 zamieściliśmy informację, w której znalazły się aż dwa błędy. Otóż mowa tam była o rurociągu transportującym gaz, a nie – jak mylnie podaliśmy – ropę. Również jego nazwa została podana błędnie – powinna ona oczywiście brzmieć: rurociąg orenburski. Przepraszamy!

REDAKCJA

Owady należą do najliczniejszej grupy zwierząt. Dotąd poznano już ponad milion ich gatunków, a dalszym odkryciom nie ma końca. Wiele z nich ma tak fantastyczne kształty, że trudno nawet snuć jakieś przypuszczenia na temat celowości takiego właśnie, a nie innego ukształtowania ciała określonego gatunku. Oto jeden z pluskwiaków, którego natura obdarzyła jak gdyby specjalnie wyglądem wyraźnie cyrkowym... (jd)

Specjalnie dla minikarowców

Na życzenie wielu naszych Czytelników, w dzisiejszym numerze na str. 3 zamieszczamy zdjęcia ilustrujące rozwiązania konstrukcyjne poszczególnych elementów minikara. Zainteresowanych planami budowy minikarów informujemy, iż w jednym z lutowych numerów „ŚM" zamieścimy plany budowy minikara „Zuch", opracowane przez inż. Jana Grudniewskiego z Centralnego Ośrodka Minikarowego w Starachowicach.

Ławeczka startowa służąca do rozpędzania minikara. Przytwierdza się ją z lewej lub prawej strony minikara, w taki sposób, aby nie utrudniała zawodnikowi wskoczyć na fotel

Fot. **M. Szymański**

976 dni w spienionych falach! REKORD... BUTELKI

W. BRYTANIA (PAP). Australijski profesor uniwersytetu w Canberze, Nigel Wace, od pewnego czasu walczy usilnie z wydawcami światowej księgi rekordów Guinnessa o zamieszczenie w jej najnowszej edycji „rekordu", którego jest współautorem.

Chodzi o rekord szybkości dryfu w morzu pustej butelki, która po 32 miesiącach od wrzucenia do wody w rejonie Przylądka Horn, dotarła do wybrzeży Nowej Zelandii.

11 tys. mil morskich butelka pokonała w 976 dni, a więc średnio przepływała ok. 18 km dziennie.

Znaleziona na nowozelandzkiej plaży butelka była jedną z 80, wrzuconych do oceanu na Przylądku Horn. Wszystkie zawierały oczywiście wewnątrz odpowiednie adnotacje. (kl)

VIII ZJAZD PZPR

Tak było, tak jest, tak będzie!

ZASOBNIEJSZY DOM

Dom może się kojarzyć komuś przede wszystkim z mieszkaniem, komuś innemu z wyposażeniem jego wnętrza, jeszcze komuś – z tym wszystkim, co można by nazwać życiem rodzinnym, od posiłków domowych zaczynając a na sposobach spędzania wolnego czasu kończąc. A więc co zmieniło się w naszych domach w bieżącym dziesięcioleciu? Na jakie zmiany możemy liczyć w najbliższej pięciolatce?

Do końca r. 1980 w nowych mieszkaniach zbudowanych w tym dziesięcioleciu zamieszka 9 mln osób, ponad 1/4 całego naszego społeczeństwa. W następnych pięciu latach do nowych lub zmodernizowanych mieszkań przeprowadzi się dalsze 2 mln rodzin tzn. mniej więcej 1/5 mieszkańców Polski. Choć więc nie można mówić jeszcze o rozwiązaniu problemu mieszkaniowego, jest to ogromny postęp, a tempo przyrostu nowych mieszkań będzie wzrastać. W efekcie, o ile w 1970 r. wypadało w Polsce 4 mieszkańców na 3 izby, o tyle na koniec dekady na 1 osobę przypadać będzie prawie 1 izba. W wielu rodzinach bardzo więc się poprawiły warunki mieszkaniowe.

W tychże mieszkaniach przed 10 laty mieliśmy zaledwie 48 telewizorów na 100 gospodarstw domowych. Dziś mamy ich 87, w tym 9 kolorowych. Pralek mieliśmy 64, mamy 80, w tym 13 automatycznych. Magnetofonów na tę liczbę gospodarstw przypadało zaledwie 4, dziś 42, samochodów 5, dziś 19. Pojawiło się w naszych domach również wiele innych sprzętów gospodarstwa domowego, które nie tak dawno należały jeszcze do rzadkości, wiele z nich bez żadnych kłopotów można dziś kupić.

I w tej dziedzinie w latach 1981–1985 możemy liczyć na dalszy postęp. Poprawi się zaopatrzenie w meble, do użytku zostanie oddana duża fabryka mebli w Suwałkach. Zakończona zostanie modernizacja przemysłu teletechnicznego, co oznacza postęp w telefonizacji. Przemysł elektromaszynowy dostarczy więcej maszyn do szycia, robotów kuchennych, chłodziarek, narzędzi potrzebnych w gospodarstwie domowym, nowoczesnych telewizorów kolorowych.

Ten wzrost zasobności naszych domów, a co za tym idzie – i nas samych, nie byłby możliwy bez wzrostu dochodów. Zatrudnienie w obecnym dziesięcioleciu wzrosło o 2 mln tzn., że tyle osób więcej zasila budżety domowe. I to znacznie wyższymi pensjami, bo średnia płaca wzrosła w tym czasie z 2 235 – do 5 300 zł, w tym najniższa z 850 do 1800 zł. Ponad dwukrotnie wzrosły też renty i emerytury. Wzrastały jednocześnie świadczenia socjalne, z których sporą pomoc otrzymali ci, którzy dostali nowe mieszkania. Polityka wzrostu realnych dochodów ludności będzie kontynuowana w nadchodzącym pięcioleciu. Przy uwzględnieniu wzrostu kosztów utrzymania, zwiększą się one o 10–12 proc.

JERZY MAJKA

BOGOWIE UMIERAJĄ NA PLAŻY

Kula ziemska powinna właściwie nazywać się kulą morską albo wodną, ponieważ stałych lądów jest na niej dużo mniej niż wód. Po tych wodnych bezmiarach od tysięcy lat wędrowali ludzie, przemierzając na tratwach, łodziach, statkach żaglowych ogromne odległości. Walczyli z żywiołami, tonęli, umierali z pragnienia i głodu ale dal skryta za horyzontem pociągała ich z nieodpartą siłą. I odkrywali nowe lądy – wielkie kontynenty i małe wyspy. Osiedlali się, rozmnażali, podbijali inne narody, plemiona i tworzyli nowe.

Uczeni próbują odpowiadać na pytania, kto i kiedy zasiedlił taką, czy inną wyspę? Dlaczego piramidy budowano po obydwu stronach Atlantyku – w Egipcie i prekolumbijskiej Ameryce; skąd przybyli Indianie i kim był ów ,,Biały Bóg" Wirakocza, o którym mówiły ich legendy, że był już i jeszcze powróci, powstałe na długo przed pojawieniem się Hiszpanów. Kiedy więc przybyli konkwistadorzy, zostali uznani za bogów i tak powitani. Czy były wobec tego już wcześniej jakieś kontakty transatlantyckie? A może jest to echo legendarnej Atlantydy, tego pomostu, który miał łączyć Amerykę z Afryką, a który zapadł się w otchłań. Nie wiadomo. Skąd jednak taka sama legenda o ,,Białym Bogu", który przybędzie z morza na Hawajach? Na tym niewielkim archipelagu złożonym z 8 dużych i 124 małych wysepek, dosłownie zagubionych śród oceanicznej pustyni Pacyfiku. Tak zagubionych, że dopiero w 1778 roku odkrył je angielski żeglarz kapitan James Cook. Czy ta legenda narodziła się na Hawajach, czy też pochodzi z Polinezji i została przewieziona przez pierwszych odkrywców tych wysp (V wiek i później XII–XIV), a zarazem pierwszych osadników – Polinezyjczyków? Tego nie wiadomo. Natomiast wiemy, że po przybyciu Cooka na Hawaje, koniecznie chciał się do niego dostać – jako do wodza wyprawy – miejscowy kapłan. Gdy go wpuszczono do kabiny kapitana, zarzucił Cookowi kawałek czerwonej tkaniny na ramiona, podał mu małego prosiaka, a następnie padł przed nim na kolana. Dopiero po pewnym czasie obserwując zachowanie ludności Europejczycy doszli do wniosku, że Cook został uznany za boga. Jeszcze później dowiedziano się o starej legendzie, zapowiadającej przybycie białego boga. Dlaczego białego? Czyżby już kiedyś, byli tam biali ludzie? Podobno tak! Niektórzy uczeni utrzymują, że Hawaje były już raz odkryte przez Europejczyków, a konkretnie przez Hiszpanów między 1527 a 1555 rokiem. Ale któż odpowie na pytanie, czy przypadkiem i oni nie byli witani jak bogowie? Może więc jacyś śmiałkowie odbili kiedyś od lądu amerykańskiego i dopłynęli na Polinezję wioząc ze sobą legendę o Wirakoczy? Zagadki, zagadki...

Gdy biały bóg nazwiskiem Cook, który już trochę stracił – przy bliższym poznaniu – na boskości, po awanturze z miejscowym wodzem o skradzioną szalupę, idąc przez plażę zbliżył się do łodzi, rozległ się wystrzał. To brytyjski marynarz strzelił do wyraźnie już wrogiego tłumu Hawajczyków. Jeden z wodzów padł. I wtedy zaczęło się... Cook został trafiony kamieniem w plecy, w odpowiedzi zaczęto strzelać. Tubylcy nie zostali dłużni, następny kamień trafił brytyjskiego kapitana w głowę. Przewrócił się. I już się nie podniósł, zakłuto go sztyletami. Marynarze zamiast go ratować, rzucili się do ucieczki. Tak pierwszy bóg umarł na hawajskiej plaży. A nazwa **Hawai** pospolicie tłumaczy się: ,,mieszkanie bogów", co zresztą nie jest chyba prawidłowe, bo bliższy prawdy wydaje się pierwowzór tej nazwy **Kaway'i** czyli ,,miejsce pobytu". Choć znów w dzienniku okrętowym ,,Discovery" dowodzonym przez Cooka, zanotowano nazwę **Owyhee.** Ale już tyle poprzekręcanych nazw miejscowych zapisano w różnych dziennikach i kronikach dawnych odkrywców, że lepiej wierzyć późniejszym zapisom, dokonywanym przez ludzi bardziej światłych i mających więcej czasu na badania.

Co działo się później na Hawajach? W ślad za Cookiem przyszli biali misjonarze, awanturnicy i choroby. Rezultat był taki, że w sto lat później pozostało zaledwie 60 tys. tubylców. Następnie prozpoczęła się powoli kolonizacja Wysp Hawajskich. Lasy sandałowe zostały wycięte, powstały olbrzymie plantacje trzciny cukrowej i ananasów, na których zatrudniono importowanych robotników chińskich, japońskich, koreańskich, portorikańskich i filipińskich. Dziś 57 procent całego obszaru, pozostaje w posiadaniu około 20 wielkich właścicieli ziemskich. Zdziesiątkowani tubylcy wymieszali się z białymi i azjatyckimi przybyszami. Resztki Polinezyjczyków można spotkać przede wszystkim na odległych, mniejszych wyspach. Za właścicielami plantacji przyszło wojsko. W 1900 r. Hawaje stały się terytorium Stanów Zjednoczonych i wkrótce przekształcono je w jeden z najważniejszych punktów bazowania floty na Pacyfiku. W czasie II wojny światowej to właśnie tutaj dokonali Japończycy niespodziewanej napaści na flotę amerykańską w PEARL HARBOUR, co w konsekwencji spowodowało przystąpienie Ameryki do wojny. Od 1959 r. Wyspy Hawajskie weszły w skład USA jako 50 stan. Przyroda i ludzie Hawajów mieli znaczenie tylko ze względu na fakt, że wyspy te pokrywały 1/3 zapotrzebowania na cukier Stanów Zjednoczonych i 2/3 światowego zapotrzebowania na ananasy.

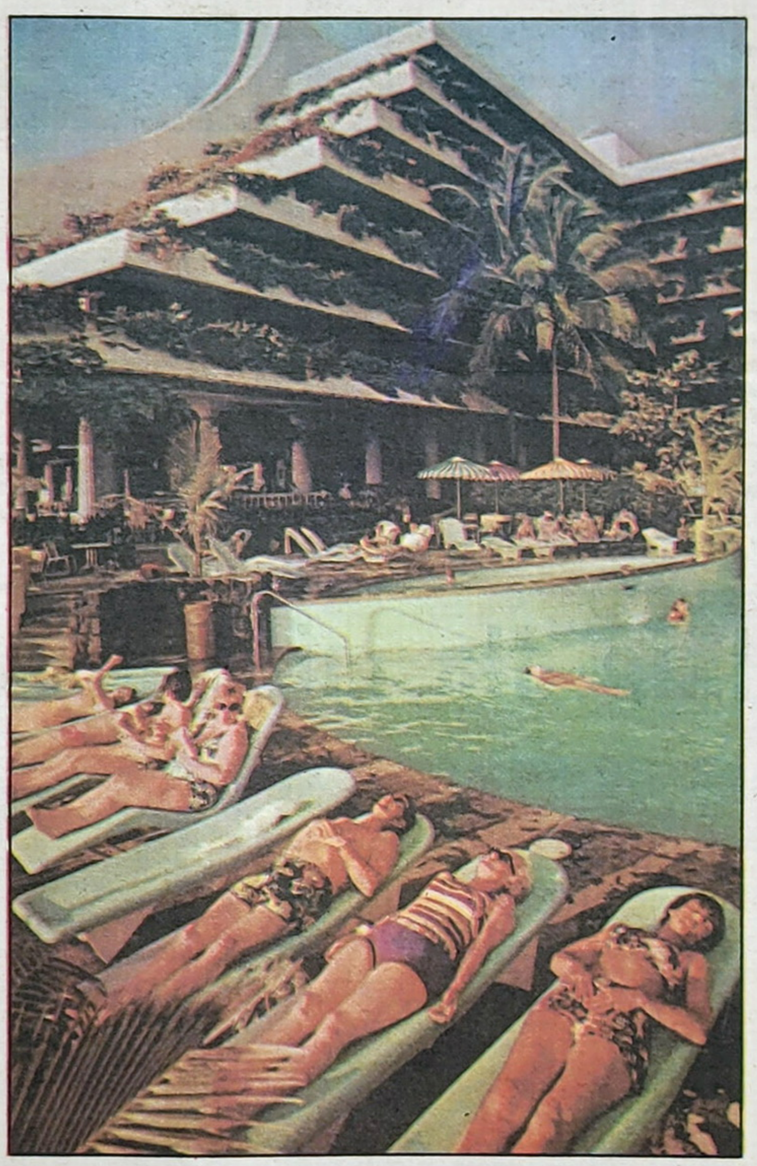

Nie cukier jednak i nie ananasy przyczyniły się do uśmiercania starych tradycji hawajskich, do prawie całkowitej zagłady przez wymieszanie się z innymi rasami rdzennych Hawajczyków. Nie cukier i nie ananasy zabiły starych, dobrych hawajskich bogów, którzy żyli – według wierzeń swych wyznawców – w wulkanach. Zatłamsili tych bogów na hawajskich plażach, swymi ciałami turyści. Masy turystów, miliony turystów. Bo w historii Hawajów są dwa punkty zwrotne: pierwszym było odkrycie wyspy przez białego człowieka, drugim – 175 lat później – skonstruowanie samolotu odrzutowego. Pytanie, który z nich miał bardziej niszczycielskie skutki? Od ćwierćwiecza Hawaje – nie mylić z Hawajczykami – sprzedają raj na ziemi. Łagodny brzeg morski, palmy powiewające na wietrze, romantykę mórz południowych, egzotyczny wdzięk dziewcząt, tańce i klimat błogosławiony wiecznym słońcem. Przed 30 laty Hawaje odwiedzało rocznie niecałe 80 tys. turystów, w minionym roku było ich prawie 4 miliony!

Rajskie Hawaje niemal nie znały przestępczości. Dwa pierwsze zarejestrowane przestępstwa to kradzież szalupy ze statku ,,Discovery" kapitana Cooka i zamordowanie go przez rozgniewaną ludność. Jednak od tego czasu, przez prawie 200 lat, Hawaje były jednym z najspokojniejszych miejsc na ziemi. Dopiero z początkiem ery odrzutowców, a więc napływu turystów powstał świat przestępczy. W połowie lat sześćdziesiątych z raju pozostała atrapa dla turystów, a z rozpadem starej struktury społecznej pojawiła się również mafia. Jej pierwszym szefem był Chińczyk Czungi Czung. Gdy w lipcu 1967 r. został zastrzelony w Honolulu, amerykańska mafia usiłowała przejąć władzę nad podziemiem hawajskim. Jednak miejscowi gangsterzy nie zamierzali się jej podporządkować. Dwaj ,,delegaci" z kontynentu zostali zamordowani a zwłoki odesłano do Ameryki z notatką: *,,Przyślijcie nam następnych".*

Całe dzielnice i wsie, lasy i pola przekształcono w ,,urlopowy raj", a jedna czwarta zatrudnionych przyzwyczajona jest do tego, by napiwek uważać za swe główne źródło dochodu. Od 1970 r. zaczęli masowo napływać na Hawaje Japończycy, przywożąc ze sobą miliony dolarów. W 1960 r. było na Hawajach dziesięć tysięcy japońskich turystów, w ubiegłym roku już prawie pół miliona. Japońscy biznesmeni wykupują hotele, restauracje i tereny pod zabudowę. Ogólna wartość ich inwestycji, jest oceniana na 800 mln dolarów. Przemiany na Hawajach objęły wszystkich, także bogatych. Oni jednak tylko stali się bogatsi. Przykładem może tu być towarzystwo AMFAC, założone w 1849 r. przez niemieckiego kapitana statku, który na północnym wybrzeżu Maui kupił mały kawałek ziemi i uprawiał na nim trzcinę cukrową. W sto lat później była to już plantacja o powierzchni 26 tys. hektarów przynosząca prawie 150 milionów dolarów dochodu rocznie, w roku 1980 mają one przekroczyć 1 mld dolarów. Towarzystwo przekształciło 240 ha w ,,urlopowy raj" z 2090 pokojami w hotelach, kilku setkami mieszkań i kilkudziesięciu domkami jednorodzinnymi. Proces rugowania tubylców z ich ziemi zrobił niewielkie wrażenie, wyjątkiem jest wypędzenie setek drobnych chłopów z północnego wybrzeża Oahu, by zrobić miejsce na nowe osiedle wakacyjne. Wtedy to w Honolulu pojawiły się plakaty z zarzutami pod adresem wielkiego biznesu i spekulantów gruntowych.

Ale turystów z Ameryki, Azji i Australii, nie interesują te sprawy. Oni chcą pięknego, egzotycznego urlopu; tańców, śpiewu ,,dzikusów" na plaży pod palmami, nad pięknym oceanem. I chcą jeszcze wieńców uplecionych z kwiatów, zakładanych na szyję przez piękne dziewczyny. I ten cud trwa, co prawda fabrykowany specjalnie dla turystów, ale jest. Bo przecież nie turystów trzeba winić za to, że rozwój jaki Hawaje osiągnęły za ich pieniądze stał się błogosławieństwem, które zmieniło się w przekleństwo.

JERZY KOWALKOWSKI

Fot. archiwum

Wyróżniająca czy wzorowa?!

Napisała do nas Sarna. Nie płowa, ani nie syberyjska. Rodem z... Rybnika. Tak w każdym razie podpisała swój list.

Sarna jest zwierzęciem bardzo płochliwym. Może dlatego nie podała imienia i nazwiska, ani dokładnego adresu. Dlatego właśnie odpisujemy jej na łamach naszej gazety.

No więc Sarna ma wiele kłopotów. A wszystkie zaczęły się od oceny ze sprawowania. Pomimo znakomitych stopni z przedmiotów, aktywności społecznej otrzymała na cenzurce... ocenę wyróżniającą. Jest to tym bardziej przykre, że Sarna specjalnie po to, aby otrzymać najwyższą notę ze sprawowania wstąpiła w szeregi ZHP. Jest to zachowanie godne najwyższego podziwu. Czego to się nie robi dla stopni! Wprawdzie mamy duże wątpliwości co do wartości działania Sarny w organizacji, niemniej już sam pomysł zasługuje na najwyższe uznanie. No więc Sarna przywdziała mundur harcerski i z niecierpliwością oczekiwała na wręczenie świadectwa.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyła... ocenę wyróżniającą. Jak to?! Jej zachowanie było bez zarzutu. Dlaczego nie wzorowe?! Przecież NALEŻAŁA do harcerstwa.

W tym miejscu konieczne wydaje się kilka słów komentarza. W większości szkół wszyscy prawie uczniowie należą do PCK, czy LOP. I tylko niektórzy z nich wiedzą, co za nazwa kryje się pod tym skrótem. Nikogo to po prostu nie obchodzi. Ale w dzienniku, w rubryce ,,przynależność do organizacji", zawsze można coś komuś zapisać. Jest to oczywista bzdura. To samo z harcerstwem. Jeśli jedynym motywem wstąpienia do tej organizacji jest uzyskanie oceny wzorowej z zachowania, to... niewiele warta taka harcerka. Sarna użalała się bardzo w swym liście, że przecież nie opuściła żadnej zbiórki (choć były one podobno przeraźliwie nudne i wszyscy mieli w nosie wszystko). Niestety, dla mnie to wcale nieprzekonywający argument. Co z tego, że ktoś odsiedzi swoje i wyjdzie z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku? Samo siedzenie na zbiórkach niewielki daje pożytek; lepiej byłoby w tym samym czasie pomóc w domowych porządkach.

Ale nie na tym kończą się kłopoty Sarny. Mimo przynależności do organizacji, dobrego zachowania i aktywności (,,siedzę cicho, nie dogaduję nauczycielom, nie rozmawiam") otrzymała ocenę tylko wyróżniającą. W związku z tym, w nowym roku szkolnym Sarna podjęła decyzję – WYPISUJĘ SIĘ z harcerstwa! Skoro należąc nie ma się żadnych z tego korzyści, to i po co?

Z realizacją tego postanowienia było jednak znacznie gorzej. Pisze Sarna: ,,nie wypisano mnie, oświadczając, że po przyrzeczeniu już nigdy nie mogę z harcerstwa wystąpić". W istocie też Sarnie współczujemy. I zupełnie nie rozumiemy tych, którzy stoją jej na drodze, usiłując odwieść od mocnego postanowienia. A poza tym zastanawiamy się, czy warto w ogóle zatrzymywać kogoś takiego jak Sarna.

I jeszcze jedno. Otóż sprawa, którą Sarna odczuła szczególnie boleśnie to fakt, iż inni (,,znacznie gorsi ode mnie pod każdym względem") otrzymali z zachowania ocenę wzorową. Chce się rzeczywiście krzyknąć: ,,I gdzie tu sprawiedliwość?!" Myślę, że trzeba byłoby przeprowadzić ścisłe dochodzenie, mające na celu ustalenie kto, dlaczego i od kogo był tutaj gorszy.

W tej chwili sytuacja Sarny nie jest najlepsza. Chodzi o stosunek nauczycieli do niej. Wszyscy wiedzą, że jej przynależność do harcerstwa jest tylko fikcyjna (Sarna nie chodzi na zbiórki, ,,odpuściła sobie"). Jednocześnie fakt złożenia przyrzeczenia przekreśla możliwość zrezygnowania z udziału w organizacji. Nauczyciele obserwują więc Sarnę spod oka i coraz bardziej im się ona nie podoba.

Na koniec swego listu Sarna zapytuje, chyba nie czekając na odpowiedź: ,,Ciekawa jestem, jaką teraz otrzymam ocenę ze sprawowania?"

My wiemy, jaki stopień wystawilibyśmy jej.

ANNA CHEŃSKA

W 130 numerze „Świata Młodych" z ub. roku pisaliśmy o jesiennych międzynarodowych zawodach minikarów w Cieszynie. Uczestniczyli w nich nasi najlepsi zawodnicy-konstruktorzy oraz reprezentacje czterech minikar-klubów z Czechosłowacji. Nasz fotoreporter, Marek Szymański, wykorzystał tę okazję, aby podpatrzeć obiektywem różne ciekawe rozwiązania konstrukcyjne. Oczywiście za zgodą ich autorów.

Tych, którzy w tym roku pragną wziąć udział w minikarowych mistrzostwach Polski, zachęcamy do konstruowania własnych pojazdów. Długie zimowe wieczory wykorzystajcie więc na budowę własnych minikarów, a ich wartość będziecie mogli sprawdzić na starachowickim torze w czasie ogólnopolskich zawodów. (rat)

SPECJALNIE DLA MINI-KAROWCÓW

Prototyp minikara wykonany przez konstruktorów w Bielsku-Białej. Konstrukcja ramy może być wykonana z rurek stalowych lub z kształtowników o przekroju zamkniętym. Wielu minikarowców do dziś konstruuje swoje minikary stosując ramy z drewna o przekroju w najcieńszych miejscach 5 do 8 cm

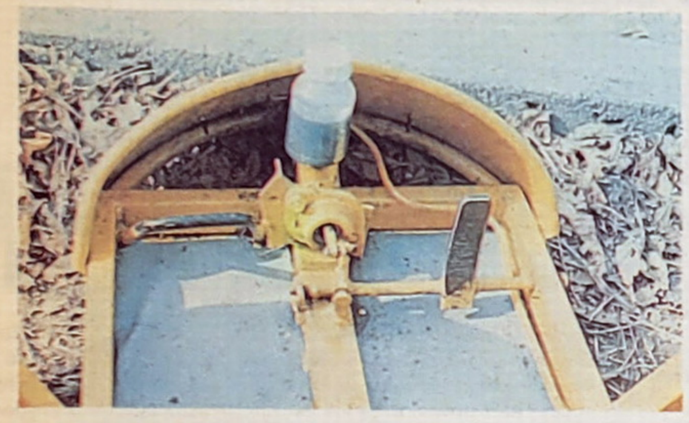

Jest to pojazd mistrza Polski Remka Dziewulskiego z Warszawy. Na zdjęciu widoczna część układu hamulcowego z pojemnikiem na płyn hamulcowy. Można stosować hamulce szczękowe (rowerowe), szczękowo-bębnowe itp. Można sterować hamulcami za pomocą linek stalowych lub prętów. Niektórzy stosują również hydrauliczny system hamulcowy. Warunek: hamulce muszą działać skutecznie i jednocześnie na oba tylne koła

Z prawej kółka minikara konstrukcji czeskiej. Kółka można stosować od małych rowerków, wózków i hulajnóg. Powinny być jednak ułożyskowane przy pomocy łożysk tocznych lub ślizgowych

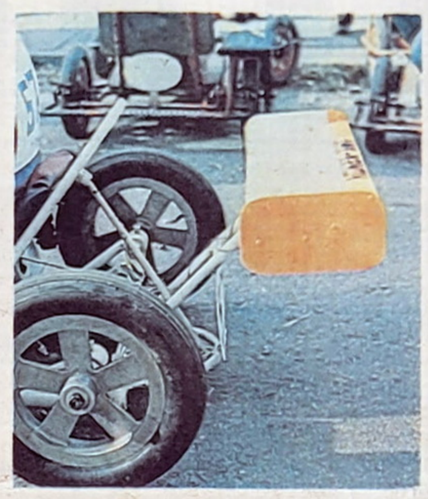

Zaleca się stosowanie ogumienia wypełnionego powietrzem. Ogumienie pełne przy znacznej szybkości zjazdu jest niebezpieczne. Z lewej wózek czeski z balastem umożliwiającym zawodnikowi o niewielkiej wadze rozwinięcie większej szybkości. Balast należy umieścić w takim miejscu, żeby nie zagroził stabilności pojazdu. Musi być też przytwierdzony do podłogi, by nie zagrażał bezpieczeństwu jazdy

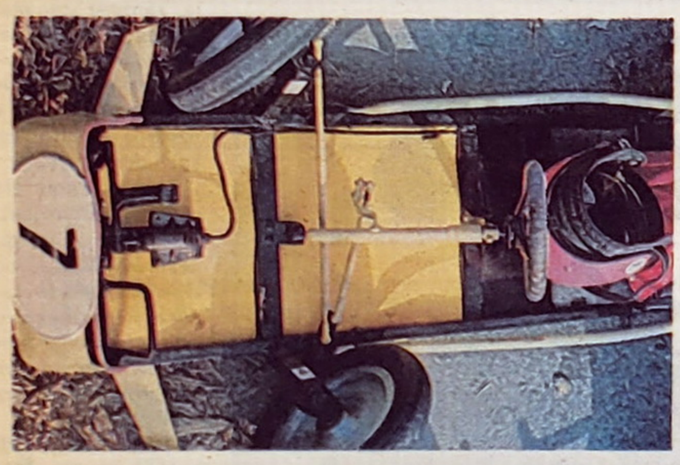

Układ kierowniczy może mieć kształt dowolny, ale całkowicie zamknięty i musi być sprawny. Przeniesienie reakcji na zwrotnice może odbywać się bezpośrednio lub z przekładnią, za pomocą drążków kierowniczych. Stosowanie linek i innych giętkich połączeń nie jest wskazane ze względu na bezpieczeństwo jazdy. Z tych samych powodów wszystkie elementy układu kierowniczego muszą być połączone w sposób stały. Można też zastosować zębatkowy układ kierowniczy

Nasi południowi sąsiedzi coraz bardziej upodabniają swoje minikary do pojazdów Formuły I. Przy ograniczonej szybkości minikara (ok. 50 km/godz.) widoczne na zdjęciu urządzenie stabilizujące nie odgrywa większej roli

Fot. MAREK SZYMAŃSKI

S/s „Sołdek"

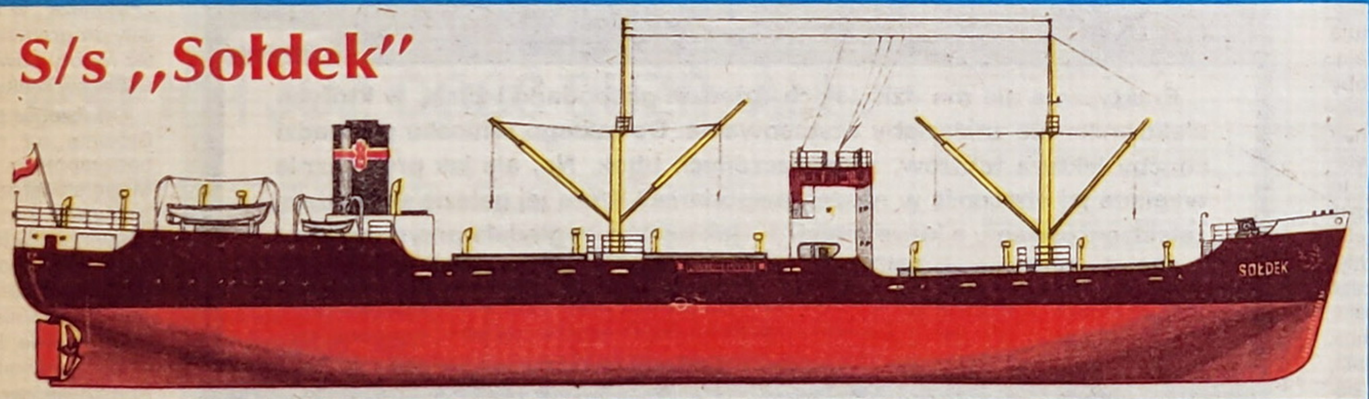

Masowiec – rudowęglowiec parowy (stąd skrót s/s po ang. steam ship, co znaczy statek parowy) typu B-30. Zbudowany przez Stocznię Gdańską (obecnie stocznia im. W.I. Lenina). Podniesienie bandery nastąpiło 21.X.1949 r. Długość 87 m, szerokość – 12,19 m zanurzenie 5,50 m. Napęd – 1 maszyna parowa – tłokowa. Moc 1300 KM. Jedna śruba. Prędkość 9 węzłów. Pojemność – 2005 BRT. W jego ładowniach mieści się 994 tony rejestrowe węgla netto, mniej więcej tyle, ile mogłoby zabrać czterdzieści jeden węglarek kolejowych. Nośność – 2619 DWT. Załoga – 28 osób. Główną maszynę dla „Sołdka" i tego typu statków (były one produkowane dla kraju i na eksport) wykonały Zakłady Urządzeń Technicznych „Zgoda" w Katowicach. „Sołdek" w połowie maja ubr. roku odbył swą 1400 podróż. Za wypracowany do tej pory dochód przez ten statek (wozi on węgiel między Polską a Danią), można by kupić 4 nowoczesne 55-tysięczniki. S/s „Sołdek" jest jedynym statkiem odznaczonym Orderem Sztandaru Pracy I klasy. Jest on również pierwszym statkiem zbudowanym w Polsce po II wojnie światowej. Sołdek – takie nazwisko nosił przodujący traser – pracujący przy budowie tego statku, późniejszy zresztą inżynier i dyrektor stoczni „Wisła" w Gdańsku.

S/s „Sołdek" nie podzieli losu innych wysłużonych jednostek i nie pójdzie na złom. Od stycznia tego roku zacumuje on przy Wałach Chrobrego w Szczecinie na Odrze – na stałe – jako statek-muzeum. W naszym albumie przedstawiamy „Sołdka" takim, jakim pływał przed 30 laty – jeszcze bez urządzeń radarowych na pokładzie.

Rys. **Marek Soroka**

2

KUPON KONKURSOWY

WYTNIJ, ZACHOWAJ

„Świat Młodych"

PZM

ZOSTAWIĆ DZIURY W ŚCIANACH czyli INTERNAT-STORY

Głównymi bohaterami tej historii są: dwie słomiane maty, firanka, zasłonki i 3 kwietniki. Jak się okaże, w relacjach osób zainteresowanych i postronnych przedmioty te nabierają zupełnie różnych walorów, w zależności od punktu widzenia. Akcja rozgrywa się w Zawierciu, w internacie przy ul. Popielarskiego 29.

We wrześniu ubiegłego roku wyżej wymienione rzeczy znalazły się, dzięki Zosi i jej koleżankom, w internackim pokoju nr 52, by go ozdobić i stworzyć namiastkę domowej atmosfery.

Zosia: – Wprowadziłyśmy się do pokoju, w którym były wprawdzie jakieś ozdoby, ale przyszły dziewczyny i mówią: to nasze. Postąpiłyśmy uczciwie – wasze, to sobie weźcie. No i zostałyśmy w pokoju o pustych ścianach.

Wiadomo – na początku roku nigdy pieniędzy za dużo nie ma: a to na komitet, a to na ubezpieczenie, książki i zeszyty. Ale jakoś się dogadały. Ewa przywiozła firankę z domu, Halina – kwiaty. Zosia kupiła maty. Wspólnie złożyły się na zasłonki i kwietniki. Zaraz zrobiło się przytulniej.

Przed wakacjami trzeba było pokoje wysprzątać i zostawić porządek.

– A co z dekoracją? – pytały. – Po wakacjach sobie odbierzecie.

Po wakacjach Zosia z Ewą zamieszkały w innym internacie, tuż przy ich szkole. Poszły do tamtego po swoje rzeczy.

– Zwróciłyśmy się do wychowawczyni – mówi Zosia – żeby wszystko załatwić jak należy, żeby po nas nie zostały złe wspomnienia. A wychowawczyni mówi: – Możecie wziąć swoje książki, rzeczy osobiste, ale w żadnym wypadku dekoracji. Jestem tu po to, aby dopilnować, żeby to wszystko zostało.

Próbowały tłumaczyć, dyskutować. Wtedy wychowawczyni powiedziała, że na pierwszym piętrze dziewczyny też ściągnęły dekorację i była wielka afera; dostało się również wychowawcom, że nie dopilnowali. Tak więc pierwsze podejście skończyło się fiaskiem.

Po kilku dniach odbyło się drugie. Niestety, mieszkanek „52" nie było, więc Ewa wraz z koleżanką wyjęły klucz z gabloty, otworzyły pokój i Ewa wzięła tylko swoje książki. Koleżanka namawiała: – Masz okazję, weź maty, przecież to waszę, ale ona nie chciała brać bez wiedzy mieszkanek.

Kolejne, trzecie i ostatnie podejście miało bardziej dramatyczny przebieg. Przy wejściu natknęły się na kierownika internatu. Powiedział im tylko: „bez mojego pozwolenia na górę wchodzić nie wolno". Odczekały i... weszły.

– Dziewczyny, ściągnijcie te widokówki – poleciła Zosia – bo biorę matę. Krystyna pobiegła po wychowawczynię, która oczywiście powstrzymała Zosine zapędy. Ale Zosię poniosły nerwy: – Proszę, niech pani dzwoni po milicję, że kradnę swoje!

W rezultacie zostały wyproszone z internatu. Więcej już nie próbowały.

– Siostra mi radziła – mówi Zosia – machnij na to ręką, przecież nie jest to takie cenne. Jasne, że te rzeczy przydałyby się nam w nowym pokoju. Póki co, Ewa wyciągnęła od mamy drugą firankę. Ale mi nie chodzi o te pieniądze tylko o to, że tak z nami postąpili. Powiedzieli, że oddadzą po wakacjach, a teraz nie chcą. Mówią, że kierownik wydał zarządzenie zabraniające zabierania swoich dekoracji. Dlaczego?

Stawiam to pytanie kierownikowi internatu.

– My stawiamy sprawę tak – odpowiada kierownik – o ile wychowanka mieszka u nas dłużej w internacie, no powiedzmy dwa lata i korzysta z tego wszystkiego co my dajemy, wtedy zachęcamy, żeby (o ile nie stanowi to jakiejś wartości wybitnie osobistej) zostawiła to następnym mieszkańcom internatu. Przecież jak się wyrywa matę z gwoździami, to się niszczy ściany, a potem rodzice mają pretensje, że ich dzieci dostają takie zniszczone pokoje.

– Ale Zosia mieszkała tylko rok.

– Tak, lecz na ile byłem zorientowany, to mata nie była jej własnością prywatną, dziewczyny składały się po te 10–15 złotych. A zresztą ja wcale nie namawiałem, żeby one koniecznie kupiły i przybijały. W ogóle jestem zdania, że lepiej nic nie wieszać na ścianach, niż rzeczy przypadkowe, o wątpliwej wartości estetycznej.

– Ta dekoracja nie była własnością internatu. Dziewczyny chciały ją wziąć do swojego pokoju. Poza tym Zosia twierdzi, że maty kupiła sama.

– Proszę pani, jeśli tak, to wystarczyło, żeby wychowawczyni czy kierownik tamtego internatu zadzwonił i potwierdzili, że mata jest jej wyłączną własnością.

– Dlaczego żąda pan potwierdzenia? Dlaczego nie wierzy pan Zosi?

– Czy ja nie wierzę? Proszę pani, ja nie wiem, czy to była jej wyłączna własność, czy całej sali?

– To nie była tylko jedna mata, ale i zasłonki, firanki i kwietniki.

– Ja nie widzę w tym żadnego problemu, o ile te rzeczy zostały to niech przyjdzie, określi jakie i...

– Dostanie z powrotem?

– Oczywiście!

ANNA PACIOREK

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

ZACZĘŁO SIĘ

od pierwszej lampy, radia, telewizora...

Centralne Warsztaty Radiotelegraficzne, zorganizowane w Warszawie w r. 1919 przez władze wojskowe były pierwszą wytwórnią sprzętu radiowego w Polsce. Oczywiście nie myślano jeszcze wtedy o produkcji lamp radiowych, ale ówczesne niewielkie zapotrzebowanie na sprzęt w rodzaju przełączników, cewek, kondensatorów czy oporników – zostało zaspokojone. Nie mieliśmy wówczas ani jednej rozgłośni, działały tylko stacje radiotelegraficzne nadające i odbierające sygnały Morse'a. Czasy radiotelefonu miały dopiero nadejść...

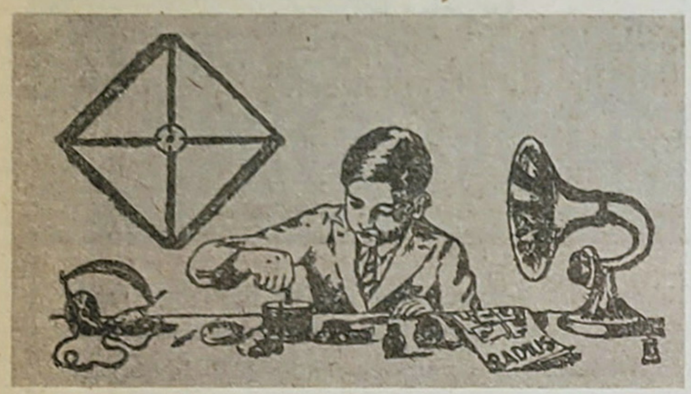

Pierwsze krajowe lampy radiowe, okrągłe, podobne do baniek choinkowych wyprodukowało w roku 1925 **„Polskie Towarzystwo Radiotechniczne"**. W tym samym roku **prof. Janusz Groszkowski** opublikował pierwszą w świecie pracę naukową poświęconą teoretycznym zasadom ich działania pt. **„Lampy katodowe oraz ich zastosowanie w radiotechnice"**. Książka wzbudziła ogromne zainteresowanie, początkując polską literaturę naukową w dziedzinie elektroniki. Służyła też potem przez wiele lat jako podręcznik na politechnikach krajowych i zagranicznych.

Kiedy otwierano **Pierwszą Ogólnokrajową Wystawę Radiową** – 3 czerwca 1926 r. – w Polsce działało już kilkadziesiąt różnej wielkości wytwórni sprzętu radiowego. Katalog tej wystawy podaje adresy 70 z nich. Produkowaliśmy już wówczas nie tylko lampy radiowe, głośniki itp. ale nawet i kompletne odbiorniki.

W przeddzień wybuchu II wojny światowej regularne programy nadawało **10 rozgłośni Polskiego Radia** nie licząc radiostacji wojskowych. Działała również – uruchomiona jeszcze w 1923 r. w Bemowie **transatlantycka stacja radiotelegraficzna** zapewniająca łączność ze Stanami Zjednoczonymi. Było to wówczas jedno z najnowocześniejszych tego rodzaju urządzeń w świecie.

WŁASNE FABRYKI
SPRZĘTU RADJOTECHNICZNEGO
LAMP KATODOWYCH
APARATÓW ODBIORCZYCH

POLSKIE TOWARZYSTWO RADJOTECHNICZNE
SP. AKC.

Sklep detaliczny: Warszawa Hotel Europejski tel. 35-56.
PTR
Zarząd i Fabryka: Warszawa-Bielany Na Skarpie 29 tel. 182-16 i 38-59.

W roku 1925 w Polsce zarejestrowano – jak podaje rocznik statystyczny 1939 r. – **200 abonentów PR,** a w 1939 liczba ich przekroczyła milion. W tej liczbie znajdowało się około 350 tys. posiadaczy odbiorników bezlampowych. Cały ówczesny niewielki przemysł elektroniczny pracował – z nielicznymi wyjątkami – na potrzeby radia. Zbliżała się epoka telewizji...

Masową produkcję lampowych odbiorników radiowych podjęliśmy dopiero po wojnie z początkiem 1946 roku **w Dzierżoniowie.** Najpierw była to **„Aga"** na podzespołach i licencji szwedzkiej, a potem już całkowicie nasz **„Pionier"**. Na zakup tego niesłychanie popularnego odbiornika zapisywano się z wyprzedzeniem co najmniej półrocznym.

W 1968 r. przemysł polski oferował już odbiorcom przeszło 20 typów odbiorników radiowych. W najdłuższej serii wyprodukowano „Menueta" – 270 000 sztuk. I tak skończyła się era aparatów kryształkowych...

Pierwszy telewizor zszedł z taśmy **Warszawskich Zakładów Telewizyjnych** na przełomie 1955–56 r. Nazywał się **„Wisła"** i budowaliśmy go na licencji i częściach radzieckiego „Awangarda". Nasz pierwszy całkowicie polski – to **„Belweder"**, który powstał dwa lata później.

Od tego czasu nasza elektronika poczyniła tak wielkie postępy, że dzień dzisiejszy można śmiało nazwać zupełnie nową epoką w jej rozwoju, który rozpoczął się wyprodukowaniem w roku 1925 śmiesznej, baniastej lampy katodowej... **(jd)**

W tym niepozornym kawałku tworzywa znajduje się wieleset tranzystorów, rezystorów, diod, kondensatorów tworzących układ scalony

Fot. J. Dąbrowski

APETYT ROŚNIE W MIARĘ

Specjaliści od tego wszystkiego co elektronicznie gra, śpiewa, gada i pokazuje czarne lub kolorowe obrazki, twierdzą, iż nastąpiło już nasycenie rynku takim sprzętem. W tej chwili byle czego nie da się już wcisnąć klientowi. Coraz częściej ludzie przychodzą do sklepu nie po odbiornik radiowy w ogóle jak niegdyś, ale wyraźnie np. po „Radmora 5102" czy „Asię". Tak samo jest z magnetofonami, gramofonami, telewizorami. A już wkrótce w taki sposób będzie się sprzedawać magnetowidy i gramowidy czyli urządzenia do nagrywania i odtwarzania obrazów TVC. Pierwsze zaczynają się ukazywać na rynku...

Jeśli więc krajowi producenci chcą utrzymać nadal sprzedaż na takim samym poziomie albo ją jeszcze zwiększyć – muszą nam oferować sprzęt coraz to doskonalszy.

A więc:

● **W dziedzinie aparatów radiowych** – nowe modele odbiorników przenośnych (UKF, średnie, długie, krótkie), z magnetofonami lub bez. Standardowy tani stereofoniczny odbiornik hi-fi. Wysokiej klasy odbiorniki „top-hi-fi" na poziomie przodujących firm światowych, i to w bogatym wyborze.

● **W dziedzinie magnetofonów** – dalsze typy odtwarzaczy stereofonicznych samochodowych, małe magnetofony kasetowe hi-fi, dyktafony.

● **W dziedzinie telewizorów** – rozwinięcie produkcji tranzystorowych odbiorników turystycznych, również kolorowych. Zdalne sterowanie, zmniejszenie poboru mocy, dźwięk hi-fi.

● **Czeka również nasz przemysł opracowanie tanich zestawów segmentowych,** które można będzie kupować w częściach bądź w całości. Chodzi o „pasujące do siebie": odbiornik, wzmacniacz, gramofon, magnetofon – kasetowy i stacjonarny, zestaw głośników.

Mamy nadzieję, iż monopolista w tej branży Zjednoczenie „Unitra" sprosta tym wymaganiom. Zresztą między nami mówiąc, nie ma innego wyjścia... **(jd)**

Magnetofon kasetowy, miniaturowy (99×149×38 mm) B- fon wbudowany, licznik przesuwu taśmy, przełącznik „M ZYKA", automatyczny poziom zapisu

ELEKTRONIKA NERW ŻYCIA

— Powszechnie przyjmuje się na świecie, że elektronizacja gospodarki jakiegoś kraju stanowi najlepszą miarę jego rozwoju i kultury technicznej. Stąd tak duże zainteresowanie elektroniką. Ale – z drugiej strony – trudno jest przewidywać, jak potoczy się rozwój tej dyscypliny. Po prostu – zbyt wiele prognoz nie sprawdza się. Dlaczego? Bo elektronika rozwija się bardzo szybko i burzliwie – szybciej, niż nasza umiejętność prognozowania. Można jednak wyróżnić pewne jej gałęzie, które zapewne będą decydować o jej rozwoju, nadawać mu ton. A zatem...

Przede wszystkim – mikro- i optoelektronika

Najpierw o tej pierwszej... Otóż mniej więcej od 1920 roku ilość elementów, z których składają się urządzenia elektroniczne – a więc tranzystorów, diod, kondensatorów, oporników itd. – zaczęła gwałtownie wzrastać. Powodowało to czasem już absurdalny wzrost rozmiarów i wagi budowanych z nich urządzeń. Ponadto – stawały się one coraz bardziej zawodne – przecież każdy z tych elementów może się popsuć. Zaistniało więc niebezpieczeństwo, że ludzkość, w miarę postępu elektronizacji, podzieli się na tych, którzy urządzenia elektroniczne wytwarzają i eksploatują i na tych, którzy je naprawiają. Tych drugich wcale nie musiałoby być mniej. Niewesoła to perspektywa – zaczęto więc myśleć nad miniaturyzacją. Narodziły się wtedy **układy scalone**. Taki układ – to krzemowa płytka, w której można zmieścić mnóstwo elementów elektronicznych. Układ ten tworzy niepodzielną całość i może spełniać bardzo wiele funkcji. Układy scalone – to przewrót w elektronice. Pozwoliły zmniejszyć urządzenia, które dawniej miały rozmiary budynku, do rozmiarów pudełka, a jednocześnie znacznie zwiększyć ich możliwości. A także – uczynić bardziej niezawodnymi. Jeżeli wszystkie części mamy zatopione w jednej płytce z półprzewodnika – odpadają łącza, które psują się najczęściej. Dzięki tej rewolucji, jaką przyniosły układy scalone, urządzenia elektroniczne – teraz już małe, wydajne, a nawet tanie – mogły na dobre wkroczyć do wielu dziedzin gospodarki. Przedtem były skazane na byt w instytutach naukowych...

Mikroelektronika była więc dla elektroniki tą furtką, przez którą wkroczyła ona do życia. Widać to dobrze na przykładzie minikalkulatorów. I wszystko wskazuje na to, że wzrost wydajności urządzeń przy niepowiększaniu, a nawet dalszym ich zmniejszaniu będzie przyszłością elektroniki...

Druga ważna gałąź – to optoelektronika. Polega ona na wykorzystaniu do przesyłania sygnałów elektrycznych wiązki świetlnej np. z lasera, albo zwykłego światła biegnącego światłowodem. Optoelektronika ma szansę zrewolucjonizować telekomunikację – w chwili, gdy zostanie na dużą skalę zrealizowana łączność światłowodowa. Próby w tej dziedzinie – udane! – były i są nadal prowadzone i u nas, w Lublinie...

Które z gałęzi naszej gospodarki korzystają z elektroniki najbardziej?

Te, które są w gospodarce szczególnie ważne. A więc – górnictwo, hutnictwo, przemysł maszynowy (zwłaszcza samochodowy).

Urządzenia elektroniczne są tu wykorzystywane przede wszystkim do sterowania procesami technologicznymi. Znany przykład – to obrabiarki sterowane numerycznie. Rozpoczyna się elektronizacja transportu, zwłaszcza kolejnictwa. Nie chodzi tu już tylko o trakcję elektryczną, ale o elektroniczne sterowanie ruchem pociągów. Zaczynamy elektronizować telekomunikację, a konkretnie – nasze centrale telefoniczne, które będą sterowane takimi sposobami, jak te, które są stosowane w informatyce. Stąd nowe, pojawiające się u nas pojęcie – **teleinformatyka.**

Dalsze perspektywy

Program elektronizacji gospodarki jest w zasadzie rozpisany na wszystkie jej gałęzie. Wspomnę tylko o perspektywach niektórych...

A więc – **rolnictwo.** Tu już w tej chwili zaczynają znajdować zastosowanie różne elektroniczne czujniki. Np. – czujnik wilgotności ziarna. Przewiduje się tu szereg innych rozwiązań.

Ochrona środowiska – czułe urządzenia elektroniczne posłużą w tej dziedzinie do wykrywania zanieczyszczeń i skażeń. Trudność polega na tym, że dotychczas stosowane na świecie czujniki (np. chemosensory) nie potrafią nam dokładnie odpowiedzieć, jakimi substancjami środowisko jest zanieczyszczone, bo na wszystkie reagują podobnie. Pracujemy w tej chwili nad tym także i w naszym instytucie.

Gospodarstwo domowe – już dziś można sobie wyobrazić np. zelektronizowaną kuchnię, w której wszystkimi czynnościami kieruje, zamiast człowieka, odpowiednio zaprogramowane urządzenie elektroniczne. Powinno to okazać się realne w latach dziewięćdziesiątych. To samo można powiedzieć o elektronicznych bibliotekach domowych.

Zastosowanie elektroniki w życiu codziennym jest zależne przede wszystkim od produkcji **mikroprocesorów**. Mikroprocesory – to jakby rodzaj układów scalonych, dających się jednak programować na wprost niewiarygodną ilość sposobów. Są to więc urządzenia o szerokim wachlarzu zastosowań.

Myślimy o uruchomieniu w przyszłości produkcji elektronicznych ogniw, które pozwolą na wykorzystanie energii słonecznej. Wspomnę wreszcie o **robotyce.** Już teraz – dzięki współdziałaniu elektroniki i mechaniki precyzyjnej – zaczynają w naszych zakładach przemysłowych pracować roboty. Są „zatrudnione" np. na taśmie produkcyjnej przy wytwarzaniu „Poloneza" w FSO. Istnieje u nas cały program rozwoju robotyki, toteż roboty powinny się niebawem znaleźć w wielu innych zakładach...

Od czego będzie to zależeć? Głównie od rozwoju przemysłu podzespołów elektronicznych. Mogę stwierdzić, że jest on u nas pomyślny. Tym samym – możemy i powinniśmy intensywnie elektronizować gospodarkę. W kraju o takim potencjale przemysłowym, jak nasz, jest to nieuchronne.

To prawda, że elektronizacja jest kosztowna, ale włożone środki szybko się zwracają.

Zresztą – niesie ona ze sobą zupełnie nową jakość życia. Elektronika – to także znacznie ułatwiony dostęp do źródeł informacji i dóbr kultury. Wreszcie – zwalnia nas od wielu prac uciążliwych i żmudnych, dzięki czemu więcej czasu pozostaje nam na działalność twórczą. Zatem, wbrew temu, co sądzą niektórzy, nie ma obaw, że urządzenia elektroniczne zastąpią człowieka. Nie zastąpią go, za to – zmienią jego życie...

Zanotował TOMASZ KŁOSOWSKI

Praktycznie nie ma dziś takich dziedzin gospodarki i życia, w których elektronika nie znalazłaby zastosowania. Do takiego wniosku prowadzi choćby lektura tekstów, zamieszczonych obok. No, ale jak praktycznie wygląda jej obecność w naszej gospodarce? Które jej gałęzie są bardziej zelektronizowane, a które mniej? I – jak będzie wyglądała przyszłość?

Mówi o tym doc. dr ANDRZEJ JAKUBOWSKI z Zakładu Mikroelektroniki w Instytucie Technologii Elektronowej Politechniki Warszawskiej.

Fot. „Unitra"

JEDZENIA...

-133. Mikro-
MOWA–MU-

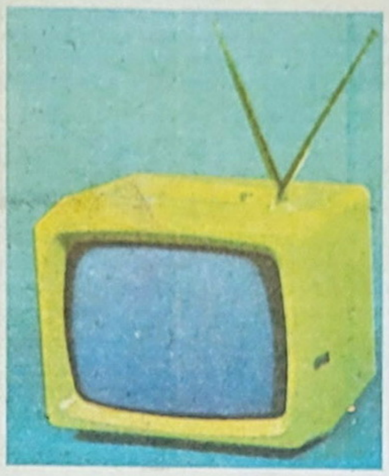

Telewizor turystyczny czarno-biały VELA 202. Całkowicie na tranzystorach, zasilanie z sieci 220V bądź akumulatora 12 V

Miniaturowy odbiornik ASIA. Długie i ultrakrótkie. Możliwość podłączenia słuchawek i dużego głośnika

W ROKU 1979 POLSKI PRZEMYSŁ ELEKTRONICZNY WYPRODUKOWAŁ...

- ponad 2 miliony odbiorników radiowych
- około 1 miliona telewizorów
- 900 tys. magnetofonów
- 340 tys. gramofonów
- 500 tys. wyrobów co najmniej dwufunkcyjnych (np. radiogramofon, radiomagnetofon)
- 170 tys. kalkulatorów
- Wieleset milionów podzespołów takich jak układy scalone, tranzystory, diody, rezystory, kondensatory itp.

Elektroniczna maszyna cyfrowa Jednolitego Systemu RIAD 22 zainstalowana w Centrum Projektowania i Zastosowań Informatyki w Warszawie

Tajemnicze słowa: Jednolity System RIAD

MASZYNY JEDNEJ RODZINY

Polski przemysł komputerowy powstał 20 lat temu – w roku 1959 zorganizowane zostały Wrocławskie Zakłady Elektroniczne. Przypomnijmy, że pierwszy polski komputer – maszyna cyfrowa „Odra 1001" na lampach elektronowych zbudowana została we Wrocławiu w roku 1961. W latach 1971–1978 krajowy przemysł dostarczył polskim użytkownikom ok. 600 systemów komputerowych oraz ponad 2 tysiące systemów minikomputerowych wartości ok. 30 miliardów złotych.

Od pewnego czasu produkujemy też komputery tzw. trzeciej generacji jednolitego systemu RIAD. Aby choć w skrócie wyjaśnić niektóre pojęcia związane z produkcją i użytkowaniem tych urządzeń zaprosiliśmy na rozmowę **dr inż. Tomasza Pawlaka, zastępcę dyr. naczelnego do spraw technicznych Zjednoczenia Informatyki,** oraz **dr Krystyna Bernatowicza, redaktora miesięcznika „Informatyka".** Ze strony redakcji w rozmowie uczestniczył **Mieczysław Komuda.**

Redakcja – Na początek wyjaśnijmy co to jest trzecia generacja i co oznacza określenie jednolity system.

Dr. T. PAWLAK – Trzecia generacja to umowny poziom techniczny i organizacyjny sprzętu komputerowego. Charakteryzuje się wykorzystaniem układów scalonych zamiast stosowanych w drugiej generacji elementów półprzewodnikowych, takich jak tranzystory. Pierwsza generacja komputerów była na lampach. To jest różnica zewnętrzna i może na niej poprzestaniemy...

Dr. K. BERNATOWICZ – Istotne w systemie RIAD jest to, że zostały ujednolicone zasady przyłączania do jednostki centralnej: czytników kart, pamięci na taśmach magnetycznych, pamięci dyskowych, drukarek itd. Drukarka wyprodukowana np. w Błoniu może być bezpośrednio podłączona do komputera wyprodukowanego w Bułgarii, ZSRR czy NRD...

Dr T. PAWLAK – Obowiązuje więc zasada ujednolicenia połączeń między urządzeniami peryferyjnymi, a jednostką centralną.

Redakcja – Właśnie. Często słyszy się ten termin: urządzenia peryferyjne...

Dr T. PAWLAK – To maszyny służące do wprowadzenia danych – odczytywania wyników i komunikowania się z komputerem. Są to oprócz wymienionych przez dr Bernatowicza monitory ekranowe i jednostki teleprzetwarzania umożliwiające zdalny dostęp do komputera. W przyszłości mają to wszystko zastąpić czytniki dokumentów, a w jeszcze dalszej przyszłości urządzenia do bezpośredniego komunikowania się z maszyną przy pomocy głosu. W świecie zaczynają już być użytkowane systemy informujące o rozkładach jazdy, pogodzie itp. Człowiek z komputerem będzie już niedługo rozmawiał jak z drugim człowiekiem.

Dr K. BERNATOWICZ – W Instytucie Językoznawstwa Uniwersytetu Warszawskiego można zadać komputerowi pytanie jaka jest najdłuższa rzeka w Polsce, a on po kilkunastu sekundach wychrypi, że Wisła. Eksperymenty takie dowodzą, że idea ustnego komunikowania się z komputerem jest możliwa.

Redakcja – „Świat Młodych" pisał już o tych pracach... Podobno przy niewielkich modyfikacjach programy przygotowane na maszynę małą można zrealizować na większej. Dlaczego to takie ważne, by programy były zamienne?

Dr T. PAWLAK – Po pierwsze, programowanie z punktu widzenia użytkownika stanowi już połowę wartości sprzętu, który zakupił. Najczęściej bywa tak, że użytkownik zaczyna swoją przygodę z komputeryzacją od komputera małego lub średniego. Po pewnym czasie jego potrzeby przerastają możliwości maszyny. Ważne jest więc, aby dorobek zakładu (program i organizacja) mogły być wykorzystane przy zmianie maszyny na większą. W ramach RWPG produkujemy taką rodzinę od małych komputerów R-10, do dużych jak R-50 i R-60.

Redakcja – Wytwarzamy także mini- oraz mikrokomputery...

Dr T. PAWLAK – Od razu trzeba zastrzec, że minikomputer dnia dzisiejszego przewyższa komputery „z wczoraj". Granica między mini-, mikro- i komputerami zaczyna się zacierać.

Maszyny matematyczne muszą jednak charakteryzować się hierarchicznością – stopniowaniem. Procesami technologicznymi kieruje komputer. Podlega mu minikomputer, który kieruje powiedzmy wydziałem. Jeszcze niżej na pojedynczym stanowisku wykonawczym pracują mikrokomputery...

Oto przykład konkretny: Polska zakupiła licencję i produkuje układy sterowania numerycznego obrabiarek. Układ sterowania obrabiarką oparty jest właśnie na mikrokomputerze. To samo dotyczy robotów przemysłowych. Minikomputer z kolei steruje już zespołem obrabiarek, organizuje transport wymienia narzędzia itd. Duże komputery ogarniają całość. Pracują w zautomatyzowanych kopalniach węgla kamiennego (kopalnia „Jan"), czy hutach szkła. Całością wytopu szkła na pierwszy polski kineskop kolorowy steruje taka właśnie duża maszyna...

Redakcja – Dziękuję panom za rozmowę.

Fot. **Andrzej Jurkowski**

JEST ICH JUŻ DOŚĆ DUŻO, ALE...

Jak wszystkie kraje gospodarczo aktywne, tak i Polska instaluje u siebie coraz to więcej komputerów. Mają one w zamierzeniu usprawnić wiele procesów produkcyjnych, pomóc w zarządzaniu, służyć natychmiastową i kompletną informacją. Jest ich już dość dużo, ale jak wykazały ostatnie kontrole, ich rzeczywisty udział w gospodarce krajowej jest o wiele za mały.

Podczas IV Krajowej Konferencji Producentów i Użytkowników Systemów Komputerowych, która się odbyła we Wrocławiu, stwierdzono, że wiele przedsiębiorstw i instytucji, które zakupiły komputery nie wykorzystuje ich dlatego, gdyż mają one tradycyjną strukturę organizacyjną, lub nie dysponują odpowiednio przygotowaną kadrą. Bardzo często też w zakładach przemysłowych komputery pozbawione są podstawowych urządzeń zewnętrznych, takich jak np. drukarki, czytniki taśm, monitory ekranowe, urządzenia do kodowania danych itd. Stoją więc bezczynnie...

A że są to urządzenia bardzo drogie (np. cena komputera trzeciej generacji wynosi około 30 milionów złotych) – wydatkowane na ich zakup pieniądze zostały zamrożone. Wydano je, a nie przynoszą żadnego dochodu...

Ponad trzystu specjalistów uczestniczących we wrocławskich obradach potwierdziło tę opinię: miliardy złotych zamienione w nowoczesny sprzęt tkwią zamknięte na siedem spustów...

Tak więc najbliższy rozwój naszej informatyki powinien w pierwszym rzędzie oprzeć się na sensownym – i do końca – wykorzystaniu tego sprzętu, który już jest zainstalowany. Należy również wyraźnie polepszyć obsługę serwisową i zaopatrzenie w sprzęt peryferyjny.

A w nieco dalszej przyszłości systemy komputerowe powinny znaleźć szerokie zastosowanie w różnego rodzaju usługach, służbie zdrowia, komunikacji. Podczas obrad wrocławskiej konferencji przedstawiciele producentów komputerów zapowiedzieli w tej sprawie prawdziwą komputerową „rewolucję".

Na to jednak będziemy musieli jeszcze trochę poczekać... (jd)

ULTRADŹWIĘKI W MEDYCYNIE

W Instytucie Podstawowych Problemów Techniki podjęto niedawno produkcję elektronicznych urządzeń ultradźwiękowych dla celów medycznych. M.in. Zakład Doświadczalny „Technopan" stanowiący część Instytutu, dostarcza służbie zdrowia unikalne aparaty pozwalające na obserwacje organów wewnętrznych bez konieczności prześwietlania ich promieniami Rentgena. Aparatura ta okazała się szczególnie przydatna w położnictwie, pozwala bowiem zupełnie bezpiecznie dla płodu obserwować jego ruchy, położenie, mierzyć dokładnie tętno itp.

JESZCZE JEDEN, KOLOROWY...

... oczywiście telewizor, opracowali polscy inżynierowie. Będzie on mniejszy – przekątna ekranu 14 cali – na polskich podzespołach i kineskopie firmy RCA. Drugi polski kolorowy powstaje w gdańskim „Unimorze", znanym z produkcji doskonałego sprzętu elektronicznego szczególnie dla potrzeb żeglugi.

Z „EMAGIEM" BEZPIECZNIEJ!

Specjaliści elektronicy pracujący dla potrzeb górnictwa skupieni są w zakładach należących do Centrum Naukowo-Produkcyjnego Elektroniki i Automatyki Górniczej „EMAG". Tutaj powstaje ogromna ilość różnych najnowocześniejszych urządzeń zwiększających bezpieczeństwo pracy pod ziemią i stopień automatyzacji procesów górniczych. Produkuje się więc elektroniczny sprzęt strzelniczy, metanomierze, systemy kontrolujące pracę kombajnów i transporterów, urządzenia głośnomówiące, systemy sygnalizacyjne...

W ciągu roku powstaje w „EMAGU" 40 nowych, modelowych rozwiązań nie licząc normalnej produkcji.

DLA PŁYWAJĄCYCH WE MGLE

Drugi z naszych wielkich leżących nad morzem producentów sprzętu elektronicznego to gdyński „Radmor". Razem z „Unimorem" stanowią one jedyne w krajach RWPG zespoły wytwarzające echosondy, radiotelefony, radiostacje, radionamierniki morskie czy stacje radiolokacyjne. Ogromna większość wyrobów „Radmoru" zaliczana jest do grupy nowoczesności „A" czyli reprezentuje poziom europejski. Jednym z ostatnich wyrobów tej firmy jest radionamiernik cyfrowy, który automatycznie i w sposób ciągły określa kierunek radiolatarni – z dokładnością do pół stopnia – i zapisuje dane. Został on wyróżniony złotym medalem na ostatnich Targach Lipskich.

NADCHODZI ERA ROBOTÓW...

Ponieważ coraz trudniej znaleźć ludzi do prac ciężkich, brudnych czy niebezpiecznych. Polskie roboty przemysłowe PRO-30 oraz PRO-80 to szczyt precyzji mechanicznej w połączeniu z najnowocześniejszą elektroniką. Produkowane są seryjnie od 1978 r. w Zakładzie Robotów Obrabiarkowych w Ciechanowie. Pisaliśmy już o nich w „ŚM" wiosną ub. roku...

CO SŁYCHAĆ?

Jeszcze do niedawna wszystkie rozmowy telefoniczne odbywały się poprzez centrale elektromechaniczne. Odpowiednie przekaźniki i wybieraki łączyły z sobą abonentów, a po skończonej rozmowie doprowadzały linię do poprzedniego stanu. Trwało to długo i było dość zawodne.

Obecne w świecie – a również i u nas – przechodzi się w coraz szerszym zakresie na centrale elektroniczne. Nie ma w nich żadnych mechanicznych części ruchomych, a wybieranie numeru i sama rozmowa realizowane są przy pomocy wyspecjalizowanych minikomputerów. Takie właśnie centrale o nazwie E-10 produkowane są w Wielkopolskich Zakładach Teleelektronicznych w Poznaniu.

SZCZYT TECHNIKI CHIRURGICZNEJ

Należymy do tych krajów, które w technice laserowej zupełnie nieźle dotrzymują kroku nowościom światowym. Nie ma się więc co dziwić, iż już w czerwcu 1978 roku odbyła się pierwsza w Polsce operacja człowieka przy użyciu supernowoczesnego sprzętu chirurgicznego jakim jest skalpel laserowy. Nad konstrukcją tego urządzenia pracowało wielu uczonych i lekarzy Wojskowej Akademii Medycznej i Wojskowej Akademii Technicznej. Pracami kierował wybitny specjalista w dziedzinie laserów, płk. prof. dr hab. Zbigniew Puzewicz. Laserowy skalpel znajduje się w warszawskim szpitalu wojskowym przy ul. Szaserów i w dalszym ciągu jest udoskonalany.

Masz takich płyt w swojej płytotece wiele. Na jednej „Bonanza", na innej – pełna transmisja z sopockiego festiwalu, na jeszcze innej – jeszcze coś innego. Gdy zaoszczędzisz parę groszy kieszonkowego, idziesz do sklepu i kupujesz sobie jakąś nową płytę. Którą nastawiasz na podłączony do telewizora gramofon i na ekranie... Fantazja?! Wcale nie!

PODŁĄCZASZ GRAMOFON DO TELEWIZORA, NASTAWIASZ PŁYTĘ I NA EKRANIE OGLĄDASZ NP. „PRZEMINĘŁO Z WIATREM" W KOLORZE...

Zupełnie realna perspektywa, która spełni się – jak twierdzą inżynierowie z Łódzkich Zakładów Radiowych „Fonika" – za lat 3, może 4...

Nie o zwyczajną płytę – choć całkiem zwyczajnie wygląda – chodzi i nie o zwyczajny gramofon. Jedno słówko się dodaje na początku: „VIDEO" – videopłyta to będzie i videogramofon. Nie będzie, już jest, choć na razie jedynie prototyp. Inżynierowie z łódzkiej „Foniki" pracują nad nim od kilku lat, aktualnie prace znajdują się na takim etapie, że niedługo rzecz będzie można skierować do produkcji.

Oczywiście, w etapie początkowym produkcji videogramofon nie będzie zbyt powszechnie dostępny – cena gra rolę, a i produkcja musi być ograniczona, a zestaw videopłyt też nie będzie zbyt szeroki. Planuje się, że pierwsze videogramofony skierowane zostaną przede wszystkim do szkół (szczególnie tych małych, zlokalizowanych daleko od dużych miast), a na pierwsze videopłyty nagrane zostaną filmy oświatowe i dydaktyczne, z których dotychczas te właśnie szkoły nie zawsze mogły korzystać. Jest to ogromna szansa dla upowszechnienia filmu oświatowego we wszystkich szkołach – telewizor jest wszak niemal wszędzie, a obsługa videogramofonu jest bardzo prosta, nieporównywalnie prostsza od obsługi projektora filmowego. Nie bez znaczenia jest również fakt, że videopłyta produkowana być może z tanich i dostępnych surowców (czego nie można powiedzieć np. o taśmie magnetycznej), a stopień skomplikowania przystawki do telewizora też jest znacznie mniejszy niż w przypadku magnetowidu.

Więc cóż z tym „Przeminęło z wiatrem" we własnej płytotece? Jednak fantazja?! Chyba nie! Przecież jeszcze nie tak dawno temu telewizor też był czymś wyjątkowym i szczególnym, i mało kto posiadał go w domu. Albo magnetofon. Albo zwyczajny gramofon wręcz i całkiem zwyczajne płyty. Wcale więc nie taka daleka jest przyszłość, kiedy i videopłyty staną się czymś bardzo zwyczajnym...

EWA KŁOSIEWICZ

Każde urządzenie elektroniczne składa się z setek, a czasami i tysięcy poszczególnych podzespołów. Tak oto wyglądają niektóre z nich, produkowane w Polsce

Fot. L. Szurkowski

No i stało się – afera, prawdziwa afera. Oczywiście w szkole, bo tylko szkoła jest miejscem, gdzie zdarzają się rzeczy superciekawe a niespodziewane i... spodziewane skądinąd, a do ciekawych raczej nie należące. Tak jak rzecz ta, która przedwczoraj miała miejsce w naszej klasie. Brrr! Otrząsam się, rzeczywiście mało ciekawa to historia, a na pewno bardzo minimalnie ciekawe będzie jej zakończenie. Dla całej naszej klasy. Chociaż... czy cała klasa jest winna?! I w tym właśnie leży główny całej sprawy problem.

Bo zaczynając od samego początku, to na przedwczoraj wyznaczona została generalna klasówka z chemii. Zgodnie ze wszystkimi zasadami kodeksów: ucznia, dobrego wychowania, moralności kata znęcającego się nad niewinnymi owieczkami itp. Ta wyliczanka kodeksów, to zwyczaj naszej chemiczki, która straszną jest przeciwniczką Kodeksu Ucznia, bo uważa, że kulturalnym ludziom zupełnie jest on niepotrzebny i że nawet kat wyżej wspomniany swą moralność (o ile jest kulturalny) posiada, więc niby po co komu przypominać o sprawach oczywistych. A ponieważ jest przeciwna, więc nie zdarza się, aby na kodeks się nie powoływała. Z ironią to robi gryzącą, ale nigdy jeszcze nie mieliśmy z nią żadnego zatargu. Jak z nikim. Więc jest lubiana. Każdy w końcu ma jakieś swoje słabostki, a ta przecież nie jest groźna.

No więc została ogłoszona klasówka. Przed przerwą świąteczną jeszcze, każdy miał czas, żeby się do niej przygotować, nikt nie mógł powiedzieć, że został zaskoczony. No i wszyscy się przygotowali. Ale... różnie: jedni zanotowali materiał w głowach, inni – na mini-ściągawkach. Na całą klasę było tych mini-ściągawek trzy. Skądinąd rewelacyjnych, bo ich właściciele żadnego zgryzu z klasówką nie mieli. Dopóki chemiczka nie zaczęła zbierać kartek. Na tych trzech pracach z miejsca postawiła wielkie dwóje i ogłosiła, że reszta będzie miała, każdy o jeden, stopień z klasówki obniżony. I dodała, że czuje się w porządku – myśmy złamali wobec niej normy kodeksowe więc i ona może. I poszła sobie.

To było przedwczoraj. Wczorajszy dzień spędziliśmy na dyskusjach różnych. Do niczego konstruktywnego nie doszliśmy. Bo niby nie cała klasa zawiniła, niby tylko trzy osoby nie wytrzymały reguł gry, ale – co z tego?! Nikt jakoś nie ma ochoty ani protestować, ani dochodzić sprawiedliwości. I to nie ze strachu czy z obawy przed przegraną ale dlatego, że... w gruncie rzeczy czujemy się wszyscy trochę głupio, trochę tak jakoś jak... istoty mało kulturalne. Czy słusznie? Nie wiem, jestem chyba za głupia.

ANKA

Świat Muzyki

GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

Yellow submarine

John Lennon
Paul McCartney

In the town where I was born,
lived a man who sailed the sea,
and he told us of his life,
in the land of submarines.
So we sailed on to the sun,
till we found the sea of green,
and we lived beneath the waves,
in oub yellow submarine.
We all live in a yellow submarine,
yellow submarine, yellow submarine,
we all live in a yellow submarine,
yellow submarine, yellow submarine.

And our friends are all aboard
many more of them live next door,
and the band begins to play.
We all live in a yellow submarine,
yellow submarine, yellow submarine,
we all live in a yellow submarine,
yellow submarine, yellow submarine.
As we live a life of ease,
everyone of us has all we need,
sky of blue and sea of green,
in our yellow submarine.
We all live in a yellow submarine...

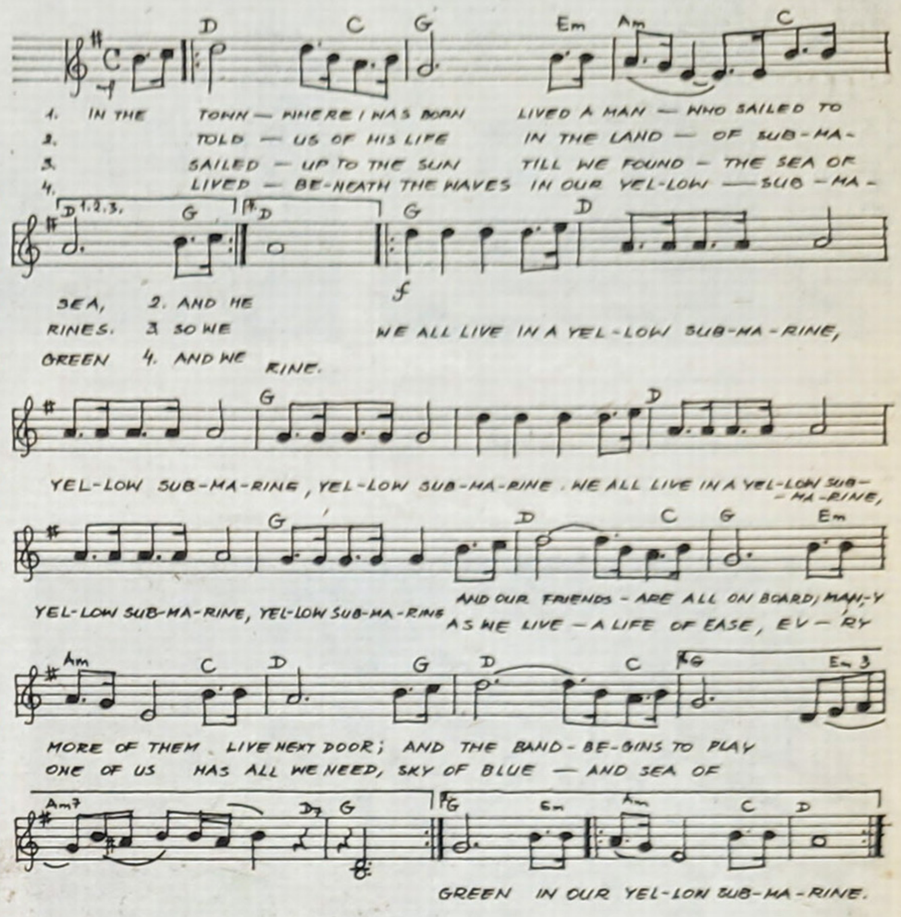

BUŁGARSKIE WSPOMNIENIA

Już po powrocie do Warszawy przeczytałem książkę Bronisława Trońskiego pt. „Słońce nad Starą Płaniną", w której znalazłem ten oto fragment...

„Bułgarzy lubią śpiewać przy każdej okazji. Był na tej ziemi przecież mitologiczny poeta i tracki muzyk Orfeusz, syn muzy Kaliope. Swoim śpiewem czarował ludzi, zwierzęta i rośliny. Orfeusz śpiewa po dziś dzień w bułgarskiej krainie. Przysłuchajcie się kiedyś bułgarskim wiatrom, górskim echom, poszumowi lasów, dźwiękom bujnych łanów pszenicy na wielkiej podbałkańskiej nizinie, a usłyszycie te orfeuszowe tony, które stały się własnością bułgarskiej duszy". To prawda; orfeuszowe tony stały się własnością bułgarskiej duszy, o czym jestem przekonany po kilkudniowym pobycie w Bułgarii, pełnym wrażeń, niecodziennych spotkań, zaskakujących odkryć i przede wszystkim muzycznych atrakcji.

Gościnni gospodarze pokazali mi dwa swoje największe miasta: Sofię i Płowdiw.

Sofia; monumentalna starożytność sąsiaduje tu z nowoczesną teraźniejszością, wielkomiejski gwar z ciszą parków. Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Sofii, zaskoczyła mnie bliskość gór. Teraz... szukałem już tych gór, przede wszystkim Witoszy, której szczyt Czarny Wierch ma prawie 2230 metrów. Może nie wszyscy o tym wiecie, że Sofia jest po Atenach najstarszą stolicą Europy, liczy sobie lat... no, bardzo dużo. Archeolodzy odkopali niedawno osadę z połowy trzeciego tysiąclecia p.n.e. Mieszkałem w hotelu „Bałkan", stojącym dziś w miejscu, gdzie przed tysiącami lat Rzymianie mieli swoje forum i budynek rady miejskiej! Zresztą układ ulic śródmieścia Sofii przypomina, jako żywo, plan miasta rzymskiego. Opowiedzieć życiorys Sofii, to zajęcie na kilka godzin, zatem... Sofia dnia dzisiejszego, Sofia miasto kultury. Muzea, teatry, kina, sale koncertowe, opera... Właśnie wybrałem się do opery na „Don Kichota" Minkusa. Ten balet komiczny nie należy do moich ulubionych. Próżno by w nim szukać myśli Cervantesa, rzecz cała ogranicza się do zabawnych przygód bohaterów. Popisy solowe, duety, tańce zespołowe, czyli „numer" za „numerem". Ale jeśli wykonują je dobrzy tancerze, to warto „Don Kichota" obejrzeć.

I rzeczywiście... Tańczyli między innymi Ewgenia Krastewa, Ludmił Kocew, Iwan Canow, no i przede wszystkim cudowna, wspaniała Wera Kirowa w roli Kitri. Ależ ta dziewczyna tańczy! Jej brawurowe popisy nagradzano brawami, których i ja nie szczędziłem, szczególnie po popisowym grand pas de deux, w którym Kirowej partnerował Iwan Canow w roli Basilia.

Następnego dnia rano wybrałem się na spacer ulicami Sofii. Interesowały mnie sklepy z płytami. Zajrzałem do trzech największych, gdzie znalazłem kilka bardzo interesujących pozycji, przede wszystkim z muzyką poważną, szczególnie operową. Miłość Bułgarów do opery bierze się chyba stąd, że kraj ten był zawsze kopalnią znakomitych śpiewaków. Ostatnio światową popularność zdobył Nikołaj Giaurow. Ale i zwolennik muzyki rozrywkowej znajdzie coś dla siebie. Dominują nagrania solistów i zespołów bułgarskich, można czasem trafić na ciekawy egzemplarz licencyjny. Własnie trafiłem... Beatlesi z roku 1961, kiedy to akompaniowali Tony Sheridanowi, a grali z Pete Bestem na perkusji i Stuart Sutcliffem na gitarze basowej (na zdjęciu). Pytałem o polskie płyty. Owszem są, ale nie cieszą się wielką popularnością, przede wszystkim ze względu na cenę. Polska płyta kosztuje sześć lewa, gdy bułgarska tylko dwa lewa trzydzieści stotinek. Polska płyta licencyjna ma wartość siedmiu lewa, bułgarska cztery. My do tej pory Beatlesów nie wydaliśmy, a Bułgarom sztuka się udała!

Po południu zwiedzam Miejski Dom Młodzieży, odpowiednik naszego Młodzieżowego Domu Kultury, gdzie rozmawiam z dyrektorem Anibałem Radiczewem i Przewodniczącym Sofijskiej Miejskiej Rady Klubów Wychowania Estetycznego Asenem Łazarowem. Oglądam też próbę zespołu tańca ludowego „Sredec" (dawna nazwa Sofii), pracującego pod kierunkiem Dimitra Dimitrowa, mogącego się pochwalić głównymi nagrodami zdobytymi na krajowych i międzynarodowych festiwalach, między innymi na zakopiańskim Festiwalu Ziem Górskich. Aktualnie w zespole tańczy 250 dziewcząt i chłopców, podzielonych na cztery grupy. Grupa pierwsza – klasy od III do V, to jakby baletowe przedszkole, druga – klasy od VI do VIII – szkoła podstawowa, trzecia, studio – ogólniak i czwarta, zespół zasadniczy – szkoła wyższa. Zajęcia odbywają się trzy razy w tygodniu pod okiem przedstawianego już Dimitra Dimitrowa, znakomitego choreografa, kilkakrotnego jurora zakopiańskiej imprezy, instruktora bardzo wymagającego, o czym mogłem się przekonać obserwując godzinną próbę grupy drugiej. „Sredec" daje w ciągu roku ponad 70 występów i 35 koncertów. Na występ składa się kilka tańców, koncert trwa ponad godzinę i jest popisem nie tylko tancerzy, ale także chórzystów i instrumentalistów.

Płowdiw. Rzeka Marica, zbocza trzech wzgórz – Dżambaz Tepe, Taksim Tepe i Nebet Tepe. Podobno francuski poeta Lamartine, urzeczony tą okolicą, powiedział w roku 1833. *„To jedno z najpiękniej położonych miejsc, jakie tylko można sobie wyobrazić dla miasta".* Podzielam jego zdanie. Piękne otoczenie, zamierzchła historia, ośrodek nauki i kultury, miejsce spotkań handlowców z całego świata. Po zwiedzeniu starego i nowego Płowdiwu, poszedłem do Miejskiego Domu Młodzieży, wyglądem bardzo przypominającego ten sofijski. Trafiłem na spotkanie młodzieży z kompozytorem, politykiem, pisarzem i dziennikarzem, które prowadził znany prezenter telewizyjny. Po rozmowie i dyskusji pokazano film, potem zaproszono wszystkich do dyskoteki. Nazajutrz rano spotkałem się z Iwanem Walewem i Iwanem Nikołowem. Ten pierwszy tłumaczy polską literaturę, ten drugi – redaktor naczelny Wydawnictwa im. Ch.G. Danowa pisze wiersze dla dzieci i młodzieży (wywiad z nim znajdziecie w jednym z najbliższych numerów „Świata Młodych"). Otrzymałem w prezencie dwa zbiorki, którymi obiecałem zainteresować polskich tłumaczy.

Znowu Sofia; dostaję bilety na jeden z koncertów odbywających się w ramach Dni Polskiej Kultury Muzycznej, które uświetnił swoją obecnością Krzysztof Penderecki. Zdjęcia naszego wielkiego kompozytora, wywiady znalazły się na pierwszych stronach gazet. Nie tylko pisano o Pendereckim, ale także słuchano jego muzyki. Sofijska Filharmonia pod batutą Andrzeja Markowskiego grała „Ofiarom Hiroszimy" i „De natura sonoris", towarzyszyła Kai Danczowskiej w koncercie skrzypcowym. W innych salach, na innych koncertach wykonywano utwory Serockiego, Ptaszyńskiej, Rudzińskiego, oklaskiwano organistę Józefa Serafina i Chór Chłopięcy Stefana Stuligrosza. Koncerty odbywały się nie tylko w Sofii, ale także w innych miastach. Zapowiadany Niemen, mający w Bułgarii liczne grono wielbicieli, ostatecznie nie przyjechał. Szkoda – mówili spotykani w domach kultury młodzi ludzie.

Kto wyjeżdża z Rzymu, rzuca za siebie pieniążek do di Trevi, z nadzieją, że zobaczy to miasto po raz wtóry. Sofijska di Trevi znajduje się w Parku Wolności. Leżą tam dwie moje stotinki...

ZOSTAWIĆ DZIURY W ŚCIANACH czyli INTERNAT – STORY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

– Zosia próbowała razem z koleżankami, trzykrotnie. Bez powodzenia. Wychowawczyni powiedziała jej, że dopilnuje by tego nie wzięła. Druga wyprosiła ją z internatu...

– Coś w tym jest, wie pani, że pewne zdarzenia można ubrać w różne słowa. Ta wychowawczyni jest u nas od sierpnia. Może przez gorliwość potraktowała moje zalecenie jako zarządzenie? Ale to było zrobione w interesie grupy społecznej. Poza tym my z tą salą mieliśmy określone kłopoty wychowawcze – samowolne opuszczanie internatu w godzinach wieczornych, nieustanne wzywanie do telefonu, do okna i wyjścia.

– Z tego co wiem, Zosia w swojej szkole wyróżnia się wzorowym zachowaniem i nauką. Przychodząc do tego internatu, miała z poprzedniego, kartę zaufania uprawniającą ją do samodzielnego organizowania swojej nauki. Jak pan ocenia jej pobyt tutaj?

– To była zdolna uczennica, wyniki miała przeciętne. Jeśli chodzi o stopień zdyscyplinowania, to oceniam ją na dobry. Dla mnie ta sprawa jest śmieszna, świadcząca o jakimś dziwnym uporze i zawziętości. Zosi. Ona chyba uważa za punkt honoru, żeby nie zostawić koleżankom nawet kawałka ścierki, bo nie chodzi o ścierkę, ale o to, żeby zostawić dziury w ścianach.

Próbuję jeszcze raz tłumaczyć panu kierownikowi, że Zosi chodzi o zupełnie co innego, ale bezskutecznie. Idę więc zobaczyć przedmioty sporu do pokoju 52. Z powodu awarii centralnego ogrzewania od dwóch tygodni nikt w nim nie mieszka. W oknie smętnie wiszą niebieskie zasłonki, ściany są puste, ani śladu mat czy kwietników. Pan kierownik przypuszcza, że dziewczyny wyprowadzając się stąd z powodu awarii zabrały wszystko. – Niełądnie zrobiły – mówi tylko.

P.S. 1. W ten sposób dwie maty, zasłonka i trzy kwietniki przestały być głównymi bohaterami tej opowieści. Dla czytelników, którzy podejrzewali to od początku – dowody uznania.

P.S. 2. Zabrania się wystawiania „Internat-story" w innych internatach. Jak mówią Anglicy: Copyright. OBY!

ANNA PACIOREK

Zadanie premiowane nr 267

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

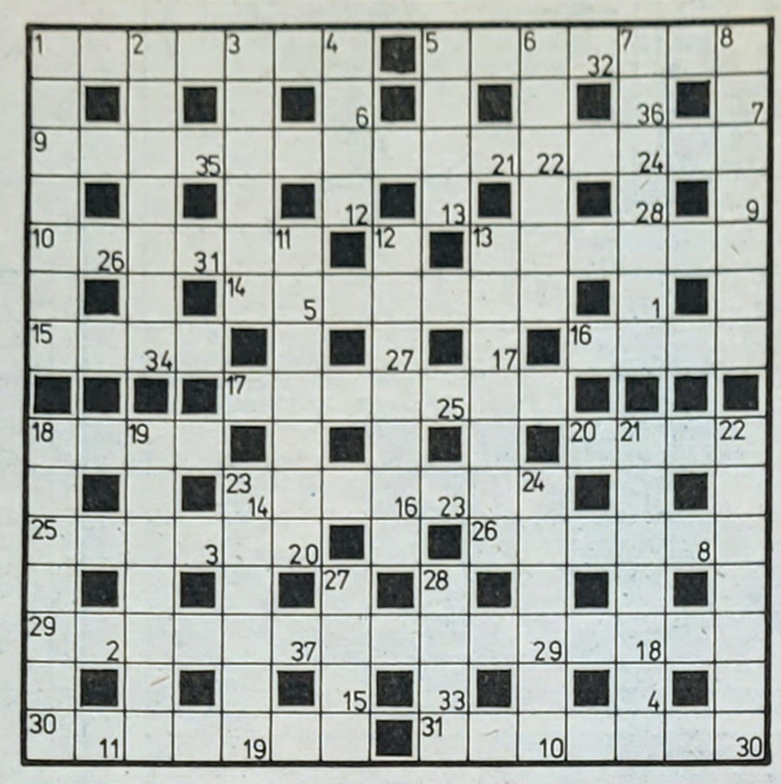

Po rozwiązaniu krzyżówki wypisz litery z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 37 i odczytaj rozwiązanie – „myśl nieuczesaną" Stanisława Jerzego Leca. Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 267".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 1) imię autora zbioru poezji „Wiklina", 5) północna lub południowa (także każda z dwóch części mózgu), 9) nautra ludzka, istotne cechy człowieka, 10) rozbija się go na obozie harcerskim, 13) wchodzi w skład chorągwi, 14) np. „Pod egidą" lub „Dudek", 15) materiał opałowy, 16) naczynie krwionośne, 17) skrytka, 18) chrust, 20) zbocze, 23) uczucie przejedzenia, 25) w zbroi, 26) wielka, wysoka mogiła z czasów przedhistorycznych, 29) hymn proletariatu całego świata, 30) sygnał samochodowy, 31) bagażowy.

PIONOWO: 1) nad kreską ułamkową, 2) kawałek rozerwanego pocisku, 3) tylna część ciała owada, 4) przetwór owocowy, 5) postawa, układ ciała ludzkiego, 6) miasto z Muzeum Powozów, 7) osad, fusy, 8) usynowienie, 11) występuje w balecie, 12) zalążek, 13) wyznawca poglądów religijnych uznawanych przez religię za błędne, 18) struga, 19) metalowa część narty, 21) narząd oddechowy stawonogów, 22) hodowca rumaków, 23) stoi na czele spółdzielni, 24) bezdrzewny obszar roślinności arktycznej, 27) dzielnica Warszawy, 28) ostre zakończenie strzały.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 263 ZE 145 NUMERU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 8.12.1979 R.

Prawidłowe rozwiązanie: grudzień.
Nagrody wylosowali:
Anna Andruch – Gorzów Wlkp., Magdalena Bartas – Zabrze, Andrzej Berek – Skoczów, Zdzisław Czwojdrak – Malbork, Piotr Graszek – Bydgoszcz, Stanisław Grdeń – Chmielów, Maria Kruk – Kaleń, Marzena Mokracka – Oddanów, Iwona Mudzin – Szczecinek, Marta Żurek – Busko-Zdrój.

Odpowiedzi z poprzedniej soboty:

$834 + 123 = 957$
$598 - 456 = 142$
$236 + 579 = 815$

TEATR CIENI ABRAKADABRY I TAJEMNICZE DZIAŁANIA: rozwiązania obok. **BŁĄD W LUSTRZE**: błąd jest w klatce C5. **ZADANIE–LILIPUT**: jest to liczba 93815. **DZIWNY ZBIÓR JABŁEK**: skoro trzeba podejść do kosza do każdego jabłka i z powrotem, więc liczbę pokonanych metrów stanowić będzie podwojona suma pierwszych stu liczb plus jeden, czyli sto razy wziętemu 101, co daje 10100 metrów. To przecież ponad 10 kilometrów!

BEN ALI I SYNOWIE

Mój znajomy mag Ben Ali i jego dwaj synowie Mahmud i Achmed mają razem 125 lat. Achmed i jego ojciec mają razem 85 lat, a sumaryczny wiek obu braci wynosi 56 lat. Ile lat ma każdy z nich?

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś zapraszam do rozwiązania zadania z kostką: wcale nie jest łatwe, tylko dla ludzi z wyobraźnią!

Ciekawe i godne polecenia jest też zadanie o Ben Alim i jego dwóch synach. Do zobaczenia za tydzień!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

NAPRZÓD, MUSZKIETEROWIE!

Aż tylu muszkieterów pogubiło swoje cienie, pomóż im je odnaleźć! Ale uważaj: jedna figura nie ma pasującego do siebie cienia, a jeden cień nie ma pasującej do siebie figury. No, teraz już do dzieła!

KOSTKA Z TAJEMNICZYMI ZNAKAMI

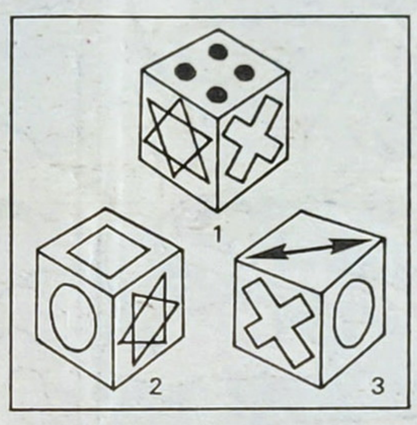

Oto masz kostkę z tajemniczymi znakami, widoczną w trzech różnych pozycjach. Dodam, że na każdej ścianie kostki jest inny symbol. I tych wiadomości wystarczy, abyś mógł wydedukować prawidłowe odpowiedzi na następujące pytania:

1) Jaki symbol znajduje się po drugiej stronie kostki naprzeciw krzyża?
2) Jaki symbol jest naprzeciw koła?
3) Jaki symbol jest naprzeciw gwiazdy?
4) Jaki symbol znajduje się u dołu kostki w pozycji 1?
5) Jaki symbol u dołu kostki w poz. 2?
6) Jaki symbol u dołu kostki w poz. 3?

Uważaj, nie spiesz się z odpowiedziami, przywołaj na pomoc całą swoją wyobraźnię przestrzenną, a potem dopiero sprawdź swoje dociekania z użyciem prawdziwej kostki.

TEST SOKOLEGO OKA

Przypatrz się uważnie tym czterem zestawom rysunków, a potem odpowiedz szybko (i prawidłowo!), które rysunki z zestawu pierwszego (tego u góry z lewej) powtarzają się w zestawach drugim, trzecim i czwartym. Jest ich – wbrew pozorom – niewiele.

postraszyć go samobójswem. Początkowo nie chciałam, ale skoro już i tak miałam robić z siebie histeryczkę, to na całego. Dopisałam więc: *Popełnię chyba samobójstwo.*

Wiesz, że mężczyźni nie znoszą histeryczek, a ludzie w ogóle lgną tylko do silniejszych od siebie. I trzeba być wielkim przyjacielem i mocnym człowiekiem, żeby po otrzymaniu takiego listu przyjść i przesiedzieć z kimś całe popołudnie tylko po to, żeby nie czuł się samotny. Odłożyć swoje ważne sprawy i całe popołudnie poświęcić na trzymanie kogoś za rękę.

Takie trzymanie za rękę i przekonywanie, że świat jest wart życia, należy do najtrudniejszych czynności na świecie. Przeżyłam to kiedyś z Marianną. Pod koniec drugiej klasy. Przeczytała „Szklany klosz" Sylwii Plath, chłopak, który jej się podobał, okazało się miał dziewczynę, i do tego wszystkiego rodzice, jak zwykle milczeli. Marianna była wtedy rozbita jak szklanka, którą z całej siły rzucono o posadzkę, i myślałam, że nie da się tego skleić. Na szczęście ona jest zupełnie wyjątkowa i po trzech zaledwie godzinach wtulania głowy w poduszkę-słoneczko dało się wyciągnąć na spacer. Te trzy godziny wystarczyły jednak, żebym się przekonała, że takie trzymanie za rękę i tłumaczenie, że świat jest piękny, to naprawdę trudne zajęcie.

Na fizyce siedzę daleko od Olka, więc niecierpliwie śledziłam drogę listu: Teresa – Bronek – Kuba – Jola – Magda – Paweł. Dostał, rozwinął karteczkę, przeczytał. Za moment przekartkował swoją książkę i wyjął ze środka kawałek papieru. Napisał coś, zawinął i podał odpowiedź Pawłowi. Paweł – Magda – Jola – Kuba... Wreszcie mogłam przeczytać: *Przyszedłbym, ale jestem bardzo zajęty.* Mnie starczyło samo „ale". Bo gdy w przyjaźni–miłości czy jakiejkolwiek znajomości zaczyna pojawiać się „ale", to znaczy, że ta znajomość jest chora i w zasadzie wszystko jest już jasne.

Podarłam tę kartkę na drobne strzępy i schowałam je do piórnika. Wiedziałam, ale co z tego? Miałam swoją prawdę, ale co mogłam z nią zrobić? „Dziadek" tłumaczył coś nieudolnie. Tereska czytała pod ławką kryminał, Marianna pisała jakiś list, a ja odkrywałam. To mianowicie, że istnieją prawdy, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Więc gdy jeszcze kiedyś koniecznie będę chciała znać prawdę, najpierw będę musiała odpowiedzieć sobie na pytanie, po co mi ona jest potrzebna. Bo z tamtej prawdy nie miałam ochoty robić żadnego użytku. Udawałam przed sobą, przed Olkiem, nawet przed Marianną, że między nami jest cały czas tak samo. Nie potrafię powiedzieć, na co liczyłam, i wiem, że sensowniej byłoby porozmawiać z Olkiem otwarcie. Miałam nawet taki pomysł, żeby mu wszystko wygarnąć i odejść nie słuchając żadnych tłumaczeń. Albo napisać list i w ogóle nie zamienić z nim słowa... Nic z tego. Zostawiłam wszystko tak, jak było, chociaż zawsze przedtem sądziłam, że nie znoszę niedomówień. Bałam się, zwyczajnie bałam i odkrywałam wkrótce dalszy ciąg tamtej maksymy – najszczerszą prawdę każdy człowiek bez wahania zamieni na ochłap nadziei. Czy to prawda, Mamo?

Reszta rozstrzygnęła się na sylwestrowej prywatce u Marianny. Tego dnia w szkole nie zamieniłam z Olkiem ani słowa. Gdy po lekcjach schodziliśmy do szatni, byłam trochę niespokojna i zdezorientowana. Zatrzymałam go przed wejściem między wieszaki i zapytałam, czy przyjdzie po mnie przed zabawą.

– Przyjdź – zażądałam – po prostu tak wypada. Jesteś u mnie o siódmej.

Ubrałam się bardzo szybko, chwyciłam pod pachę pierwszą z brzegu dziewczynę, chyba Joaśkę, i wyszłam ze szkoły. Korciło mnie, żeby się obejrzeć, a może nawet poczekać na Olka. Ale nie. Przemogłam się jakoś, stłumiłam w sobie tę przeogromną chęć wykrzyczenia, że przecież tak bardzo mi na nim zależy i nie mogę, zupełnie nie mogę być bez niego, i trzymając się mocno Joaśki szłam prosto przed siebie. Miałam nadzieję, że to może tylko kryzys, że to minie i gdy spotkamy się wieczorem, będzie tak, jak w bajce o Kopciuszku. Zamiast łachmanów strojne szaty, zamiast popiołu, z grochem...

Olek zjawił się, nawet punktualnie. Usiadł na skraju tapczanu i prawie się nie odzywał! Zupełnie nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Jak się ubrać, jak uczesać, czy namalować cieniutkie czarne kreski na powiekach. Z jednej strony wiedziałam, że powinnam zachowywać się tak, żeby on nie zauważył, jak bardzo mnie złamał, a z drugiej strony teraz nic nie miało sensu, zupełnie nic. Stałam z piętnaście minut przed szafą, zdejmowałam z wieszaka jakieś sukienki, a potem byle jak rzucałam na dno szafy. Zdejmowałam następną, przyglądałam się jej, wrzucałam na dno... W końcu włożyłam byle co, pierwszą z brzegu spódnicę i bluzkę, włosy zostawiłam luźno, takie niedoczesane i źle ułożone.

Cdn.

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA PAWEL

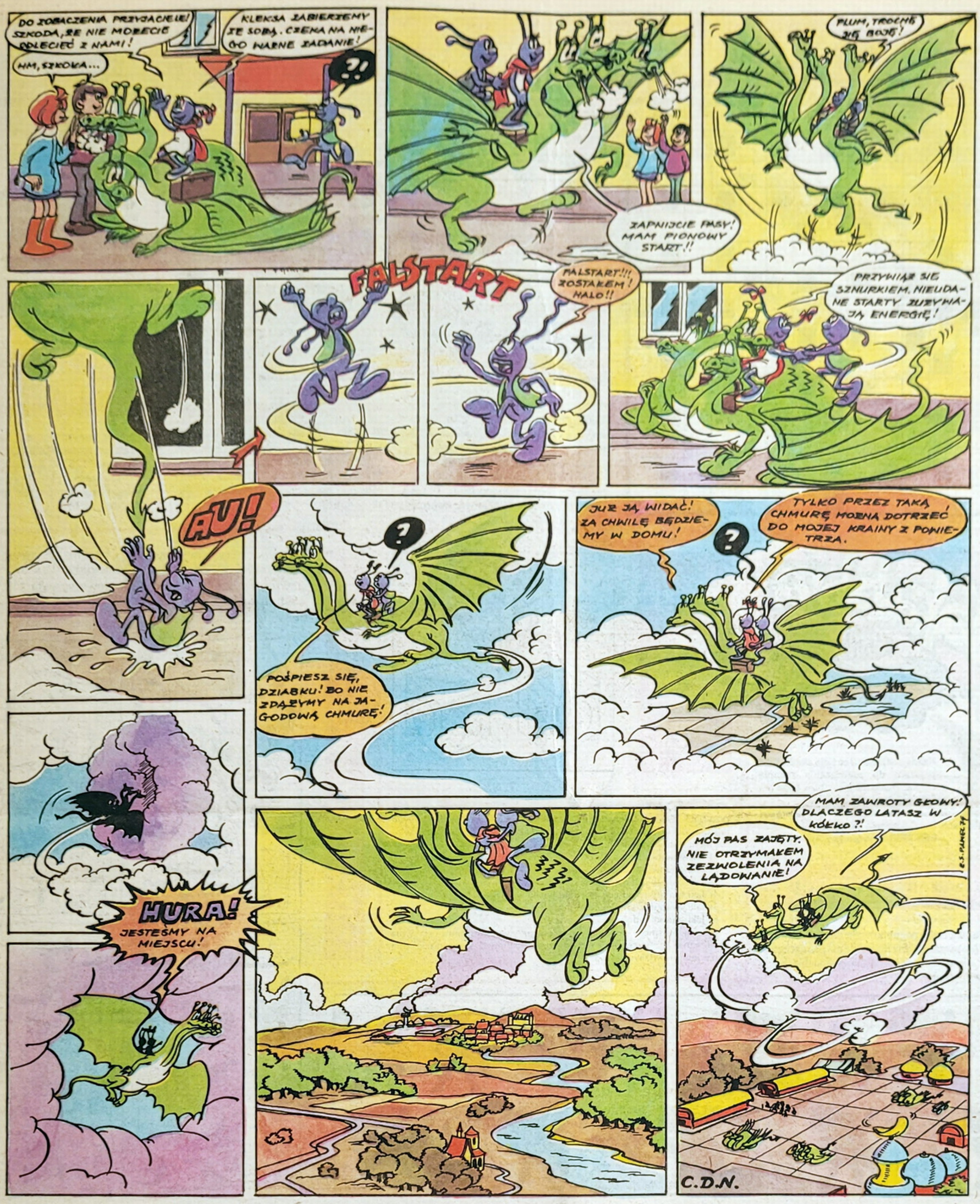

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Nr zam. 8100/G 0-43

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Zrzucili ogromne, wyładowane plecaki, odpięli narty – a więc jakaś wyprawa? Tak, piechotą na... biegun.
- Mistrz olimpijski z Montrealu – Jacek Wszoła – mówi: „Nie mam w sobie nic takiego, co by mnie predestynowało do roli idola czy wzorca dla młodzieży." Jest i zdjęcie rodzinne mistrza.
- Lista Laureatów Biura Młodzieżowych Patentów (str. 6), wywiad z jednym z nich (str. 2). Myślenie ma przyszłość!

PRZECIEŻ TO WSZYSTKO

18

anna frankowska

To spotkanie było pierwszym, które dało mi do myślenia. Wyczułam, że coś jest nie tak jak dawniej, coś się psuje.

Olek miał dla mnie z każdym dniem mniej czasu. A gdy już przychodził, unikał rozmów o wszystkim, co nie było polskim i matematyką. Unikał także uścisków dłoni, pocałunków, zbliżeń bliższych niż na odległość stołu. Gdy przychodził, błyskawicznie odrabialiśmy lekcje, bo jemu już się gdzieś śpieszyło. Z kimś się umówił, Jasia ma odebrać ze świetlicy, pilnować ojca w „Kwiatku". Jakiś milion spraw, których nie było przedtem. Nieraz miałam ochotę zapytać go wprost, co się zmieniło i co będzie dalej, Ale ciągle zdawało mi się, że może się mylę. Gdy wychodził, zawsze znajdowałam mnóstwo argumentów na jego usprawiedliwienie. Miał przecież ciężką sytuację w domu. Świetnie potrafiłam wsłumaczyć sobie i ten pośpiech, i to, że dwa czy trzy razy umawiał się i nie przychodził wcale. Potem, na drugi dzień, nie odzywał się do mnie słowem, zupełnie, jakbym go obraziła. Prawie się dąsał. Podchodziłam na którejś przerwie i pytałam:

– Dlaczego nie przyszedłeś?

Odpowiadał: – Nie miałem czasu.

I nie miał mi do powiedzenia nic więcej, Nic zupełnie.

Taka sytuacja ciągnęła się przez trzy tygodnie grudnia. A potem postanowiłam zrobić ten eksperyment. Wahałam się kilka dni. Bo przecież ja chcę ludziom wierzyć. Tak bardzo chcę i jestem przekonana, że każdy jest w gruncie rzeczy dobry i godny zaufania. Chcę wierzyć w to, że gdy ktoś mówi „białe", to naprawdę uważa, że białe. Gdy mówi „chleb", to jest przekonany, że chleb. Nawet, gdy to, co uważał za białe, było czarne, a chleb był kamieniem, wierzyłam, że taki ktoś nie kłamie, tylko jest w błędzie albo ma własną nomenklaturę, według której na białe mówi się czarne, a na chleb – kamień. Chcę wszystkim ufać i uważam, że poddawanie ludzi jakimkolwiek próbom psychologicznym jest nieuczciwe. Dlatego bardzo się wahałan, W końcu zadecydował jeden wieczór.

Rozstaliśmy się z Olkiem wieczorem przed drzwiami naszego domu. Stałam twarzą do furtki, tak że znakomicie widziałam w oknie sylwetkę starej Smykowej, a tuż przed sobą twarz Olka oświetloną słabym światłem lampy, która wisi na naszym ganku. Olek trzymał mnie obiema rękami za kołnierz mojego zimowego płaszcza w kratkę i mówił:

– Nie gniewaj się, naprawdę jestem potwornie zajęty w tym tygodniu.

Leciutko przyciągał mnie do siebie i odpychał, jakby chciał ukołysać. Wydawało się, że jest najczulszym, najmilszym chłopcem. Kołysał tak i mówił:

– Jutro muszę usiąść z Jasiem do matmy, pojutrze naprawić pralkę, we czwartek...

– Oczywiście, rozumiem – powiedziałam – oczywiście.

Zaglądałam mu w oczy próbując dostrzec, co ma w oczach człowiek, który kłamie. Którego nie stać na powiedzenie krótkiego słowa „odejdź".

– Widzimy się jutro w szkole – rzucił to niemal radośnie na pożegnanie i nie czekając nawet, aż otworzę drzwi.

Nie weszłam od razu do domu. Stałam na schodach, zbierałam z nich śnieg i lepiłam kule. Rzucałam nimi z całej siły w drzewa i wtedy zdecydowałam ostatecznie.

Nie myśl, sobie, że to było coś strasznego. Po prostu następnego dnia na ostatniej lekcji posłałam mu maleńką karteczkę: *Przyjdź koniecznie. Mam straszną chandrę. Nie poradzę sobie sama.* Zastanawiałam się chwilę, czy

Dokończenie na str. 7